

Promień zielony



JULIUSZ VERNE

Promień zielony

TŁUM. STANISŁAW MIŁKOWSKI

I. BRAT SAM I BRAT SIB

— Bet!

— Beth!

— Bess!

— Betsey!

— Betty!

Tyle imion kolejno wywołano we wspaniałej sali w Helensburgh, w ten sposób bowiem, wiedzeni dziwną manią, brat Sam i brat Sib zwykli przywoływać gospodynię domu.

W tej chwili jednak te poufale zdrobnienia imienia Elżbiety nie bardziej spowodowały pokazanie się dzielnej kobiety niż gdyby jej panowie przywołali ją pełnym imieniem.

Natomiast w własnej osobie, z czapką w ręku, pojawił się we drzwiach apartamentu intendent Partridge.

Partridge, zwracając się do dwóch osób pięknie odżywionych, siedzących w framudze okna, którego trzy spłaszczone kwadraty elegancko rysowały się na fasadzie budowli, rzekł:

— Panowie wołali panią Bess, ale jej nie ma w mieszkaniu.

— Gdzież ona jest, Partridge?

— Towarzyszy miss Campbell, która przechadza się w parku.

I Partridge z powagą oddalił się, spełniając rozkaz wydany ręką dwóch osób.

Byli to bracia Sam i Sib, czyli mówiąc właściwie: brat Samuel i brat Sebastian, wujowie miss Campbell. Bracia, z urodzenia Szkoci, pochodzący z prastarego domu, z starożytnego klanu Highlands¹, liczyli sobie razem lat sto dwanaście, z małą różnicą piętnastu miesięcy między starszym bratem Samem a młodszym bratem Sibem.

Do naszkicowania w kilku pociągnięciach tych prototypów honoru, dobroci, poświęcenia wystarczy napomknienie, że całe swoje życie, całą przyszłość poświęcili swojej siostrzenicy. Byli braćmi jej matki, która w rok po swoim owdowieniu przeniosła się do wieczności, zachorowawszy śmiertelnie. Sam i Sib Melvill pozostali tedy jedynymi na tym świecie opiekunami maluchnej sierotki. Doznając jednakowego dla niej uczucia, żyli dla niej, myśleli i marzyli o niej.

Dla niej to wyrzekli się ożenku, pozostali kawalerami bez najmniejszego żalu, ponieważ byli tak usposobieni, że jedynym celem ich życia była rola opiekunów. Należy jeszcze przy tym dodać, że starszy odgrywał rolę ojca, a młodszy rolę matki dziecięcia. Często też zdarzało się, że miss Campbell pozdrawiała ich w sposób bardzo naturalny:

— Dzień dobry, ojcie Samie. Jakże zdrowie mamy Sib?

Do kogoż przyrównać najstosowniej tych dwóch wujów, niemających wielkiej zdolności do prowadzenia interesów, jeżeli nie do tych dwóch miłosiernych przedsiębiorców, tak dobrych, tak zgodnych, tak uczuciowych, jeżeli nie do dwóch braci Cheeryble z Londynu, istot najdoskonalszych jakie kiedykolwiek stworzyła imaginacja Dickensa! Niepodobna znaleźć odpowiedniejszego podobieństwa i choćbyśmy musieli posądzać autora

¹Highlands — górzysty, północny region Szkocji. [przypis edytorski]

o zapożyczenie ich typów z arcydzieła pt. *Nicholas Nickleby*, nikt nie mógłby żalić się na tę pożyczkę.

Sam i Sib Melvill, połączeni przez małżeństwo ich siostry z boczną linią starożytniej rodziny Campbell, nigdy się nie rozstawali ze sobą. Jednakowe wykształcenie uczyniło ich podobnymi również pod względem moralnym. Pobierali oni wspólnie nauki w jednym i tym samym kolegium, w jednej i tej samej klasie. A ponieważ definiowali jednakowo, jednakowo mieli idee o wszystkim, i ponieważ idee te wyrażali prawie jednymi i tymi samymi frazesami, przeto, co jeden rozpoczynał, drugi dokończył z tym samym naciskiem w głosie, z tym samym ruchem. Jednym słowem, te dwie istoty stanowiły jedno ciało, z małą różnicą w budowie fizycznej. Rzeczywiście, Sam był nieco wyższego wzrostu, za to Sib więcej pełny, ale mogli śmiało zmienić swe włosy już siwe, przenieść je z jednej głowy na drugą, w niczym nie odmieniając charakteru ich szlachetnych postaci, na każdej bowiem z nich odciskała się ta sama zacność pochodzenia z klanu Melvill.

Czyliż potrzebujemy dodawać, że nawet ich odzież, wedle prostej dawniejszej mody, pod względem doboru prawdziwego angielskiego sukna, zdradzała jednakowy gust; z małą, drobną, nieznaczącą różnicą, bo istotnie Sam lubił kolor ciemnoniebieski, Sib zaś barwę ciemnego kasztana.

Doprawdy któż by nie chciał żyć w przyjaźni z tymi dwoma dzielnymi ludźmi? Przywykli do przemierzania życia jednym i tym samym krokiem, zatrzymywali się bez wątpienia w pewnym nieznaczącym oddaleniu jeden od drugiego, gdy nareszcie nadeszła chwila ostatecznego zatrzymania się. W każdym razie te dwa ostatnie filary domu Melvill odznaczały się trwałością i wytrzymałością. Zmuszeni oni byli podpierać od dawna starożytną potęgę ich rasy, datującą się od XIV stulecia, epokę epicką Roberta Bruce'a i Wallace'a, heroiczną, podczas której to Szkocja odwołała się do Anglii o prawa własnej niezależności.

Lecz jeżeli Sam i Sib Melvill nie mieli dość sposobności do walczenia za pomyślność kraju, jeżeli ich życie, mniej ruchliwe, spłynęło w spokoju i wygodach, jakie zapewniał im majątek, nie należy im z tego powodu czynić wyrzutu ani też posądzać, że się wyrodzili. Przeciwnie, czyniąc dobrze, w dalszym ciągu utrzymywali tradycję ich przodków.

Obaj, odznaczając się silnym zdrowiem, nie mieli sobie do wyrzucenia najmniejszego ekscesu, a jeżeli jak i wszyscy musieli się starzeć, to starość ta nie pozbawiała ich młodości, tak pod względem umysłu, ducha, jako i ciała.

Być może mieli jakieś wady, któż jest bowiem bezwzględnie doskonałym? Wadą tą było urozmaicenie, rozmowy obrazami i cytatami czerpanymi ze sławnego kasztelana z Abbotsford² lub po prostu z poematów epickich Osjana, dla których przejęci byli namiętnym uwielbieniem. Któż jednak z krainy Fingala i Waltera Scotta mógł im to mieć za złe?

Dla dokończenia tego obrazu ostatnim posunięciem pędzla wypada zaznaczyć, że byli namiętnymi amatorami zażywania tabaki. Lecz nikt nie wie, że godłem trafikantów w Zjednoczonym Królestwie był najczęściej namalowany na szyldzie dzielny Szkot z tabakierką w ręku, pyszniący się narodowym, tradycyjnym strojem. Otóż bracia Melvill mogliby wybornie figurować na jednym z miedzianych szyldów zawieszonych pod daszkiem jakiego kramu. Zażywali oni tyle, a może nawet więcej tabaki niż którykolwiek z mieszkańców po jednej lub po drugiej stronie rzeki Tweed³. To było tylko szczególnie, że posiadali jedną tylko, ale olbrzymią tabakierę. Sprzęt ten ruchomy przechodził kolejno z kieszeni jednego do kieszeni drugiego. Był to rodzaj ruchomego połączenia między nimi. Ma się rozumieć, obaj prawie w jednej chwili i dziesięć razy co najmniej na godzinę odczuwali potrzebę wciągania wybornego proszku nikotyny, jaki sprowadzali z Francji. Skoro jeden z nich z głębokości kieszeni wydobył tabakierkę, obydwaj naraz czuli pociąg do zażycia i kiwnąwszy potem głowami, wzajemnie sobie życzyli: „Niech nas Bóg błogosławi”.

Koniec końcem, dwóch tych prawdziwych dzieciaków, brat Sam i brat Sib, nie miało pojęcia o realnym życiu; mniej jeszcze o rzeczach praktycznych tego świata, mianowicie

²kasztelan z *Abbotsford* — sir Walter Scott (1771–1832), szkocki powieściopisarz i poeta. [przypis edytorski]

³po jednej lub po drugiej stronie rzeki *Tweed* — końcowy odcinek rzeki Tweed stanowi granicę między Szkocją a Anglią. [przypis edytorski]

w sprawach dotyczących przemysłu, skarbowości i handlu, nie okazywali też chęci zapoznania się z nimi bliżej; w polityce być może z przekonania jakobini, zachowali nieco uprzedzenia do panującej dynastii hanowerskiej, myśląc o ostatnim Stuarcie tak, jak Francuz mógłby myśleć o ostatnim Wależjuszu; w rzeczach dotyczących uczucia byli jeszcze bardziej nieświadomi.

A jednakże bracia Melvill mieli tylko jedną ideę: patrzeć jasno w serce miss Campbell, odgadywać jej najtajniejsze życzenia, kierować nimi, jeżeli będzie można, rozwijać, jeżeli tego zajdzie potrzeba, i w końcu wydać za mąż za jakiego dzielnego chłopca wedle ich własnego wyboru, który powinien by ją koniecznie uszczęśliwić.

Słyszac ich rozmowę, można by domyśleć się, że rzeczywiście wynaleźli podobnie dzielnego chłopca, na którego barkach miał spocząć ten przyjemny ciężar.

— Więc Helena wyszła, bracie Sibie?

— Tak, bracie Samie, ale oto piąta godzina, nie spóźni się zatem ze swym powrotem do domu.

— A skoro wejdzie...

— Sądzę, bracie Samie, że należy nam rozmówić się z nią stanowczo.

— Za kilka tygodni, bracie Sibie, nasza córka skończy lat osiemnaście.

— Wiek Diany Vernon, bracie Samie. Czyż nie jest równie powabna jak uroczą heroina Rob Roya?

— Tak, bracie Samie, już to pod względem wdzięcznych ruchów...

— Głębokości umysłu...

— Oryginalności myśli...

— Przypomina więcej Dianę Vernon niż Florę Mac Ivor, wielką i wspaniałą postać *Wawerleya*.

Bracia Melvill dumni ze swych narodowych pisarzy, cytowałiby jeszcze i inne imiona heroin z *Antykwariusza*, *Guya Manneringa*, *Opata*, *Klasztoru*, *Pięknego dziewczęcia z Perth*, *Kenilworth* itd. ⁴, ale wszystkie nie dałyby się porównać z miss Campbell.

— Jest to krzak róży zbyt szybko rozwinięty, bracie Sibie, dla którego odpowiednim...

— Jest opiekun, bracie Samie. Otóż pozwalałam sobie wnioskować, że najlepszym opiekunem...

— Byłby niewątpliwie mąż, bracie Sibie... ponieważ puściłby korzenie w tym samym gruncie...

— I rósłby naturalnie, bracie Samie, wraz z młodziuchnym krzakiem róży, który by pielęgnował.

Obaj bracia Melvill, wujowie, odnaleźli tę metaforę w dziele *Doskonaty ogrodnik*. Bez wątpienia byli z niej zadowoleni, ponieważ wywołała równocześnie na ich ustach uśmiech. Brat Sib otworzył wspólną tabakierę, delikatnie zanurzył w niej dwa palce, potem przekazał ją do bratu Samowi, a ten, wzięwszy spory niuch tabaki, schował ją do kieszeni.

— Więc zgadzamy się na jedno, bracie Samie?

— Jak zawsze, bracie Sibie.

— Nawet w wyborze opiekuna?

— Czyż można by znaleźć bardziej sympatycznego, bardziej przypadającego do gustu Heleny człowieka niż młody uczoney, który w wielu razach okazał nam tak szlachetne uczucie...

— Tak poważny...

— Rzeczywiście byłoby trudno. Wykształcony, posiadający stopień naukowy uniwersytetu w Oksfordzie i Edynburgu.

— Fizyk jak drugi Tyndall...

— Chemik jakby sam Faraday...

— Pojmujący przyczyny wszelkich przedmiotów na tym padole ziemi, bracie Samie.

— Którego nie można pochwycić na nieznajomości czegokolwiek, bracie Sibie.

— Pochodzący ze znakomitej rodziny hrabstwa Fife, a przy tym posiadacz dostatecznego majątku...

⁴*Antykwariusz*, *Guy Mannering*... — romanse historyczne napisane przez Waltera Scotta. [przypis tłumacza]

— Nie mówiąc o powierzchowności przyjemnej, nawet z tymi okularami oprawionymi w aluminium.

Okulary tego bohatera czy byłyby z miedzi, z niklu lub też ze złota, nie stanowiłyby dla braci Melvill powodu do zerwania układu. To prawda, że te przyrządy optyczne bardzo są odpowiednie dla młodych uczonych, albowiem nadają ich fizjonomiom nieco pożądaną powagę.

Ale czy ten ustopniowany fizyk i chemik będzie pasował miss Campbell? Jeżeli miss Campbell byłaby podobna do Diany Vernon, to wiadomo, że Diana odczuwała dla owego uczonego kuzyna Rashleigha tylko przyjaźń i nie poślubiła go wcale, jak o tym przekonuje zakończenie dzieła.

Nie wzbudzało to wcale obawy w obu braciach. Jako starzy kawalerowie nie mieli w tym względzie najmniejszego doświadczenia, byli niekompetentni w tego rodzaju wypadkach.

— Już się często ze sobą spotykali, bracie Sibie, i nasz młody przyjaciel nie zdawał się być obojętny na piękność Heleny.

— Wierzę temu, bracie Samie. Boski Osjan, gdyby chciał uwiecznić pieśnią jej cnoty, piękność i wdzięki, nazwałby ją niezawodnie Moiną, to jest kochaną przez wszystkich.

— A co najmniej nadałby jej imię Fiona, bracie Sibie, czyli, inaczej mówiąc, nazwałby ją pięknoscią, jakiej nie było równej w epoce gaelickiej!

— Wszak można prawie odgadnąć, bracie Samie, że następne słowa wypowiadał o naszej Helenie: „Opuściła schronienie, gdzie wzdychała tajemniczo i okazała się w całej swej piękności jak księżyc w mglistej stronie wschodu...”

— „W blasku uroczych wdzięków, które ją otaczały niby promienie”, bracie Sibie, „a szelest jej lekkich kroków wpadał do ucha jak przyjemna muzyka!”

Szczęściem obaj bracia powstrzymali się od dalszych cytatów, schodząc z zachmurzonego nieco nieba do krainy rzeczywistości.

— Niewątpliwie — rzekł jeden z nich — jeżeli się nasza Helena podoba młodemu uczonemu, nie zaniedba i on podobać się jej także...

— Co zaś do niej, bracie Samie, jeżeli jeszcze nie zwróciła uwagi na jego niezaprzeczone przymioty, którymi obficie obdarowała go natura...

— Bracie Sibie, wypadek wyjątkowy, ponieważ jeszcze nic nie mówiliśmy jej, że to już czas do pomyślenia o pójściu za mąż...

— Ale w dniu, w którym będziemy się starali skierować jej myśli ku temu celowi, skoro zapytamy się, czy nie ma co przeciwko mężowi lub przeciwko małżeństwu...

— Nie omieszka odpowiedzieć „tak”, bracie Samie.

— Jak ten znakomity Benedykt, bracie Sibie, który zbyt długo opierając się...

— Skończył oświadczeniem się i poślubił Beatrycze.

Otóż w taki sposób układały się plany dwóch wujów miss Campbell i rozwiązanie takowych wydawało się im tak naturalne jak w komedii Shakespeare'a⁵.

Powstali jakby wiedzeni jedną myślą. Patrzyli na siebie z domyślnym uśmiechem. Zacierali ręce. Była to sprawa skończona, małżeństwo postanowione. Jakież mogłyby nasunąć się przeszkody? Młodzieniec poprosi ich o jej rękę. Młoda dziewczyna udzieli przychylną odpowiedź, co nie ulega najmniejszej wątpliwości. Uczyni się zadość przyzwoitości. Należy oznaczyć dzień ślubu.

Rzeczywiście byłaby to piękna ceremonia. Odbyłaby się w Glasgow. Nie wybrano by do jej spełnienia katedry św. Mungo, jedyne kościoła w Szkocji, który wraz z świątynią św. Magnusa z Orkadów zbudowany został w czasie Reformacji. Nie! To zanadto olbrzymia budowla, a następnie i bardzo smutna na ceremonię ślubu, który wedle wyobrażeń braci Melvill powinien być tak czarowny jak sama młodość, tak promieniejący jak miłość. Wybiorą raczej kościół św. Andrzeja lub św. Enocha albo św. Jerzego, który należy do dzielnic miasta bardziej arystokratycznej.

Brat Sam i brat Sib dalej rozwijali swe projekty w formie przypominającej bardziej monolog niż dialogi, ponieważ był to szereg idących po sobie idei, wypowiedzianych w jednakowy sposób. Tak rozmawiając, patrzyli przez okno na piękne drzewa parku, pod cieniem których przechadzała się teraz miss Campbell; na grzędy zielone otoczone

⁵Benedykt... Beatrycze... w komedii Shakespeare'a — *Wiele hałasu o nic*. [przypis edytorski]

ruchomymi strumieniami wody; na niebo zaciągnięte jasną osłoną, co jest właściwością klimatu górzyściej części Szkocji. Nie patrzyli na siebie, było to bowiem zbyteczne, ale od czasu do czasu, jakby pod wpływem instynktownej afektacji, chwyтали się za ręce, ściskali, niby dla wzajemnego udzielenia sobie myśli, przepływających przez te dwa ciała jak prądy magnetyczne.

Tak jest! Byłoby to pyszne! Dokonano by wielkiego i szlachetnego czynu. Biedni mieszkańcy z West George Street, gdyby jacy byli, ale gdzież nie ma ubogich i biednych, nie zostaliby zapomniani przy tej ceremonii. Chyba, ale to nie podobna, miss Campbell wyraziłaby życzenie, żeby ślub odbył się cicho; w takim razie pierwszy raz w życiu wujowie sprzeciwiłoby się stanowczo, nie ustąpiłoby ani w tej sprawie, ani w żadnej innej. Z wielką ceremonią na uczcie weselnej zaproszeni piliby na zdrowie państwa młodych wedle starożytnego obyczaju. I oto obaj bracia jednym ruchem podnieśli w górę prawą rękę, jakby dla spełnienia owego zdrowia.

W tej chwili drzwi otworzyły się. Na progu ukazała się młoda dziewczyna z rumieńcem na twarzy. Trzymała w ręku dziennik. Skierowała się ku braciom Melvill i każdego z nich obdarzyła pocałunkiem.

— Dzień dobry, wuju Samie — wyrzekła.

— Dzień dobry, droga córko.

— Jakże zdrowie wuja Siba?

— Wybornie.

— Heleno — rzekł brat Sam — powzięliśmy pewien projekt względem ciebie i musimy się porozumieć.

— Projekt? Jaki projekt? Co uradziliście, moi wujowie? — pytała, patrząc na nich figlarnie.

— Czy znasz młodzieńca nazwiskiem Arystobul Ursiclos?

— Znam go.

— Nie podoba ci się?

— Dlaczegożby mi się nie podobał, wuju Samie?

— Więc ci się podoba?

— Dlaczego ma się podobać, wuju Sibie?

— Otóż mój brat i ja po dojrzałym zastanowieniu się zamierzaliśmy zaproponować ci go jako małżonka.

— Ja mam iść za męża?! Ja? — wykrzyknęła miss Campbell i zaczęła się śmiać do rozpuku.

— Nie chcesz iść za męża? — zapytał brat Sam.

— W jakim celu?

— Nigdy? — dodał brat Sib.

— Nigdy — odpowiedziała miss Campbell, z twarzą nadzwyczaj poważną a uśmiechem wesołym na ustach. — A przynajmniej dopóty, dopóki nie ujrę...

— Czego? — zawołali razem bracia Sam i Sib.

— Dopóki nie ujrę Zielonego Promienia!

II. HELENA CAMPBELL

Wiejski dom zamieszkiwany przez braci Melvill i miss Campbell był położony o trzy mile od małego miasteczka Helensburgh, nad brzegiem Gare Loch, w jednej z tych malowniczych miejscowości, jakie powstały na prawym brzegu rzeki Clyde.

W czasie zimy bracia Melvill i ich siostrzenica zamieszkiwali w Glasgow, w starożytnym gmachu na ulicy West George Street, w dzielnicy arystokratycznej nowego miasta, niedaleko od Blythswood Square. Tutaj bawili przez sześć miesięcy lub krócej, jeżeli, ma się rozumieć, kaprys Heleny, któremu nie opierali się wcale, nie nakłonił ich do dłuższego pobytu na wybrzeżach Włoch, Hiszpanii lub Francji. W czasie tych podróży patrzyli na wszystko oczami ukochanej pupilki, szli tam, gdzie się jej iść podobało, zatrzymywali się tam, gdzie uważała za stosowne się zatrzymać, admirując to, co zasługiwało na jej uwielbienie. Następnie, kiedy miss Campbell zamknęła swój album, w którym zamieszczała szkice już to ołówkiem, już to piórem, jako wspomnienie po odbytej podróży, powracali

do Zjednoczonego Królestwa i na nowo obejmowali w posiadanie wygodny apartament na West George Street.

Już maj zbliżał się do końca, gdy brat Sam i brat Sib uczyli gwałtowne pragnienie udania się na wieś. Przypadło to jakoś w tym samym czasie, gdy i miss Campbell objawiła niemniej stanowcze życzenie pożegnania Glasgow, schronienia się przed hałasem wielkiego przemysłowego miasta, uwolnienia się od kłopotliwych spraw, ujrzenia nieba niezaciemnionego dymem, odetchnięcia powietrzem nienasyconym kwasem węglowym, tak jak niebo i powietrze metropolii, której tytoniowi lordowie (*Tobacco Lords*) przed kilku wiekami nadali wielkie znaczenie handlowe.

Cały tedy dom, i państwo, i służba, pojechali na wieś.

Helensburgh jest wioską nadzwyczaj przyjemną. Jest to ośrodek kąpielowy często odwiedzany przez tych wszystkich, którym czas pozwala zmieniać spacerów nad Clyde na wycieczki nad jeziora Katrine i Lomond, cenione przez turystów.

O milę od wioski, nad brzegiem Gare Loch, bracia Melvill wybrali sobie najodpowiedniejsze miejsce do zbudowania domu ocienionego wieńcem drzew, pośród dwóch strumieni, na gruncie bardzo przydatnym do założenia parku. Powietrze świeże, grzędy przepełnione zielonością, gałki, kwiaty, łąki z ziołami higienicznymi, tak niezbędnymi dla trzód owiec, stawy z powierzchnią jasną odbijającą się wyraźnie od czarnego dna łożyska wód, po której pływała masa łabędzi, tych cudownych ptaków, o których mówi Wordsworth, że „Łabędź się zdwaja na wodzie, płynie bowiem on i jego cień” — jednym słowem wszystko to, co natura utworzyła czarownego dla oczu, a do czego nie dotknęła nigdy ręka ludzka, składało się na letnią rezydencję bogatej rodziny.

Należy jeszcze dodać, że część parku powyżej Gare Loch tworzyła czarowny krajobraz. Na prawo widać było uroczą włoską willę należącą do księcia Argyle. Na lewo mała wioska Helensburgh uwydatniała się w szeregu małych domków, malowniczo rozrzuconych nad brzegiem rzeki. Wprost na lewym brzegu Clyde wznosił się port Glasgow, ruiny zamku Newark i Greenock i las masztów różnobarwnych, co tworzyło panoramę bardzo urozmaiconą, od której niepodobna było oderwać wzroku.

Widok ten jeszcze się bardziej rozwijał, upiększał, dochodził majestatyczniejszych rozmiarów, gdy się wstąpiło na główną wieżę domu.

Na ostatniej kondygnacji tej wieży, ustrojonej w chorągwie i emblematy narodowe, zwykła była miss Campbell spędzać godziny na marzeniu. Urządziła tu bardzo wdzięczne schronienie, przewietrzne jak obserwatorium, gdzie mogła czytać, pisać, nawet spać zabezpieczona od wiatru, słońca i od deszczu. Tu jej też najczęściej szukano. Jeżeli zaś nie znajdowała się tutaj, to niewątpliwie, ulegając fantazji, przechadzała się w alejach parku sama lub w towarzystwie pani Bess, jeżeli nie wyjeżdżała konno do wsi sąsiedniej z wiernym Partridge'em, galopując gwałtownie, tak że intendent musiał nieustannie popędzać swego konia, by nie pozostać w tyle.

Pomiędzy liczną służbą domu wypada wyróżnić szczególnie te dwie osoby, tych znacznych służących, którzy do późnego wieku pozostali wierni rodzinie Campbell.

Elżbieta „Luckie” (matka), jak zwykli tu nazywać gospodynię, liczyła sobie tyle lat wieku, ile nosiła u pasa kluczy, a miała ich ni mniej, ni więcej, jak czterdzieści siedem. Była to prawdziwa gospodyni, poważna, lubiąca porządek, roztropna i z wielkim taktem zarządzała domem. Zdawało się jej nawet, że wychowała obu braci, chociaż byli od niej starsi; dla miss Campbell żywiła prawdziwie macierzyńskie uczucia.

Przy niej wyrastała inna potężna osobistość, Szkot Partridge, sługa oddany duszą i ciałem swemu państwu, zawsze wierny obyczajom swego samego klanu. Nigdy nie zmieniał stroju narodowego, nosił się wedle tradycji miejscowych górali: beret niebieski w pstre kolory, kilt, czyli rodzaj spódnicy z tartanu, z futrzaną torebką przyzwiązaną do paska na biodrach, długie skarpety oraz trzewiki z krowiej skóry.

Pani Bess do prowadzenia domu i Partridge do jego strzeżenia aż nadto wystarczali; nie potrzeba więcej służby, jeżeli się chce być zupełnie spokojnym na tym padole ziemi.

Widzieliśmy bez wątpienia Partridge'a w chwili, kiedy wezwany przez braci Melvill odpowiedział im na pytanie; wyraził się on wówczas o młodej dziewczynie „miss Campbell”.

Gdyby dzielny Szkot nazwał ją miss Heleną, to jest imieniem chrzestnym, dopuściłby się wykroczenia przeciwko regułom podkreślającym stopnie hierarchii, które zwykle znane jest pod nazwą snobizmu.

Nigdy rzeczywiście starsza córka albo jedynaczka szlacheckiego rodu, nawet w kolebce, nie nosi imienia, jakie otrzymała na chrzcie. Gdyby miss Campbell była córką parą, tytułowano by ją: lady Helena, ale gałąź rodu Campbellów, do którego należała, była poboczną linią i bardzo odległą od rodu palatyna sir Colina Campbella, sięgającego jeszcze czasów wojen krzyżowych, nosiła przeto tytuł *miss*. Od wielu wieków rozgałęzienie z głównego pnia rozdzieliło linie starszych przodków tego rodu, do którego należały klany: Argyle, Breadalbane, Lochnell i inne; lecz jakkolwiek przez swego ojca Helena zbyt była oddalona od głównego szczepu, czuła przecież w swych żyłach krew zacnej szlacheckiej rodziny.

Jednakże, choć nie pochodziła z głównej linii, była prawdziwą Szkotką, jedną z szlacheckich córek Thule, z niebieskim okiem i włosami blond, której portret wykonany przez Findona lub Edwardsa mógłby śmiało pomieścić się obok Minny, Brendy, Anny Robsart, Flory MacIvor, Diany Vernon, miss Wardour, miss Katarzyny Glover, Mary Avenel, to jest: w albumie znakomitości, w których Angliki zwykli pomieszczać najpiękniejsze typy swych wielkich romansopisarzy.

Miss Campbell była doprawdy czarująca. Uwielbiano jej piękną postać z oczami niebieskimi niby lazur jezior Szkocji, jak się zwykli malowniczo wyrażać mieszkańcy; jej smukłą kibić, jej dumną postawę, jej twarzyczkę z odcieniem rozmarzenia, do którego mieszała się po części ironia, całą jej postawę odznaczającą się wdziękiem i dystynkcją.

Miss Campbell nie tylko była piękna, ale i dobra. Bogata przez wujów, nie pyszniła się z tego wcale. Miłościwa, usprawiedliwiała stare przysłowie gaelickie: „Niech ręka, co się otwiera, będzie zawsze pełna”.

Przed wszystkim przywiązana do swego kraju, do klanu, do swej rodziny, była Szkotką duszą i ciałem. Jej patriotyczne serce drżało rozkosznie na każdą nutę, jaka przepływała nieraz do niej z gór Highlands.

De Maistre mówił: „Jest w nas dwie istoty: jedną jestem ja sam i inna jeszcze”.

„Ja” miss Campbell była to istota poważna, rozsądna, pojmująca życie bardziej z obowiązków niż z praw osobistych.

„Inną” była istota romansowa, cokolwiek skłonna do przesądów, lubiąca cudowne opowieści, jakie tak naturalnie pojawiają się w kraju Fingala; zbliżająca się w pewnym względzie do Lindamir, tych zachwycających bohaterów romansów rycerskich, lubiła wybiegać do sąsiednich dolin, żeby przysłuchiwać się „dudom Strathdearne”, jak nazywają mieszkańcy szkockich gór wiatr, który dmie w wąskich przejściach i wąwozach.

Brat Sam i brat Sib zachwycali się jednakowo: tą „ja” miss Campbell i tą „inną jej istotą”, lecz trzeba przyznać, że o ile tamta czarowała ich, o tyle ta druga wprawiała ich w pewne zakłopotanie niespodziewanymi wybuchami, wycieczkami w krainy marzeń, polotami ku lazurowemu niebu.

Czyż to nie ta druga istota spowodowała tak dziwną odpowiedź miss:

— Pójść za męża? Ja? Zaślubić pana Ursiclosa... Zobaczymy. Przypomnimy to sobie!

— Nigdy — odpowiada „ja” miss. — Nigdy! a przynajmniej dopóty, dopóki nie zobaczę zielonego promienia!

Bracia Melvill spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co czynić, gdy tymczasem miss Campbell zasiadła w gotyckim fotelu umieszczonym we wnęce okna.

— Czy słyszałeś o jakimś tam zielonym promieniu? — pyta brat Sam.

— Dlaczego koniecznie chce widzieć ten promień? — odparł brat Sib.

Dlaczego? Dowiemy się.

III. ARTYKUŁ W „MORNING POST”

Oto, co w tym dniu zamieścił w swych szpaltach dziennik „Morning Post” jako wiadomość dla wszystkich zajmujących się osobliwościami fizycznymi świata:

„Czy kiedykolwiek obserwowaliście słońce, gdy zachodzi ono za horyzont morza? — Tak jest, bez wątplenia. Ale czy też zauważyliście ową chwilę

w której wyższa część jego tarczy znika, musnąwszy poziom wody? — Bardzo możliwe. Jednakże czy zwróciliście uwagę na zjawisko powstające w tym właśnie momencie, gdy promieniejąca gwiazda rzuca ostatnie promienie, zwłaszcza, gdy niebo jest bez mgły i jaśnieje w całej czystości swego lazuru? — Być może nie. Otóż przy pierwszej sposobności, a nadarza się bardzo rzadko, zauważycie, że nie będzie to, jak dotąd sądzono, promień jaskrawoczerwony, podrażniający siatkówkę waszego oka, lecz promień zielony, tak cudownego odcienia, takiej zieloności, jakiej nigdy jeszcze nie wytworzyła paleta malarza, na jaką nie zdobyła się natura, malując tyle miriadów roślin, ani powierzchnia wód oceanu. Jeżeli w raju znajduje się zieloność, to niezawodnie musi być takiej jak ta barwy, jest ona bez wątpienia zielonością nadziei!”

Taki artykuł umieszczony został w „Morning Post”, a z tym właśnie dziennikiem weszła do pokoju miss Campbell. Prosta notatka obudziła w niej niezwykle zapał. Odczytała też z równym zapałem wujom powyżej podane kilka linijek, opiewających w lirycznej formie piękności „zielonego promienia”.

Ale to, czego nie wypowiedziała miss Campbell było dużo ważniejsze, bo właśnie zielony promień powiązany był z dawną legendą, na której głębsze znaczenie nie zwracała dotąd uwagi. Jedna spośród licznych legend, jakie zrodziły się w Highlands, głosiła, że ten promień posiada własność taką, że kto raz go ujrzy, ten nigdy nie dozna w uczuciach zawodu, że jego pojawienie się rozprasza iluzje i kłamstwo; że na koniec ten, który będzie miał szczęście ujrzeć go choć raz, posiada zdolność czytania jasno we własnym sercu i w sercu innych.

Przebaczone tej młodej Szkotce z Highlands jej poetyczną wiarę ożywioną nadspodziewanie przeczytaniem artykułu w „Morning Post”.

Słuchając miss Campbell, brat Sam i brat Sib patrzyli na siebie zaniepokojeni, zrobiwszy wielkie oczy. Aż dotąd w ciągu całego życia nie zdarzyło się im ujrzeć zielonego promienia i wyobrażali sobie, że można jednak żyć, nie widząc go wcale. Zdawało się, że Helena miała inne przekonanie i postawiła sobie za zadanie życia ujrzeć ów promień koniecznie.

— Ach, to jest to, co nazywają zielonym promieniem — rzekł brat Sam, z lekką poruszając głową.

— Tak jest — odpowiedziała miss Campbell.

— Jaki koniecznie chcesz widzieć — dodał brat Sib.

— A co nastąpi za naszym pozwoleniem, moi wujowie, i do tego jak najprędzej, jeżeli to nie zrobi wam przykrości.

— Bardzo dobrze. A jak go nareszcie ujrzysz...

— Skoro go ujrzę, pomówimy wówczas o panu Arystobulu Ursiclosie.

Brat Sam i brat Sib spojrzeli na siebie ukradkiem i uśmiechnęli się z zadowoleniem.

— A zatem idźmy ujrzeć ów zielony promień — rzekł jeden.

— Nie tracąc drogiego czasu — dodał drugi.

Miss Campbell zatrzymała ich poruszeniem ręki w chwili, kiedy właśnie otwierali okno w salonie.

— Trzeba czekać zachodu słońca — rzekła.

— Więc dzisiejszego wieczoru... — odpowiedział brat Sam.

— Skoro słońce zachodzić będzie na jasnym zupełnie horyzoncie — dodała miss Campbell.

— A zatem po obiedzie pójdziemy we troje aż do Roseneath — odezwał się brat Sib.

— Albo po prostu wejdziemy na wieżę — dodał brat Sam.

— W Roseneath, jak również i z naszej wieży — odpowiedziała miss Campbell — ujrzemy tylko horyzont rozciągający się nad brzegami Clyde. Tymczasem należy czynić obserwacje i badać słońce zachodzące na horyzoncie nad brzegami morza. Otóż należy do was, moi wujowie, abyście w jak najkrótszym czasie ukazali mi błękit owego horyzontu.

Miss Campbell mówiła z taką stanowczością, przy tym uśmiechała się tak wdzięcznie, że bracia Melvill zgodzili się na wyznaczenie terminu wykonania tej obietnicy.

— Być może, że to nic nagłego — zrobił uwagę brat Sib.

A brat Sam pospieszył z dodatkiem:

— Będziemy mieli zawsze dość czasu...

Miss Campbell poruszyła głowę z wdziękiem.

— Nie będziemy mieli dość czasu — odpowiedziała — lecz przeciwnie, jest to bardzo nagle.

— Czyżby to ze względu na sprawę pana Arystobula Ursiclosa? — rzekł Sam.

— Którego szczęście, zdaje się, zawisło od zbadania zielonego promienia... — dodał brat Sib.

— Przeciwnie. Dlatego, że mamy już sierpień — odpowiedziała miss Campbell — i że wkrótce mgła zaciemni niebo naszej Szkocji. Należy zatem korzystać z końca lata i z początku jesieni. Kiedyż pojedziemy?

Nie ulegało wątpliwości, że gdyby miss Campbell koniecznie jeszcze w tym roku pragnęła ujrzeć zielony promień, to należało się spieszyć i nie tracić czasu, mianowicie udać się na wschodnie brzegi Szkocji, umieścić się tam z możliwą wygodą, codziennie przyglądać się zachodowi słońca i czatować na jego ostatni promień, oto co trzeba było uczynić i do tego jak najprędzej, choćby w ciągu jednego dnia.

Być może, że miss Campbell wkrótce ujrzy spełnione życzenia, gdyż jak wspominał artykuł „Morning Post”, niebo nie zawsze, a nawet bardzo rzadko jest odpowiednie do ukazania tego zjawiska.

Dziennik ten miał zupełną słuszność.

Przed wszystkim należało odszukać i wybrać punkt na zachodniej stronie nieba, gdzie ten fenomen jest widzialny i w tym celu opuścić dotychczasową zatokę Clyde.

Rzeczywiście bowiem cały obszar zatoki Firth of Clyde był najeżony przeszkodami ograniczającymi widnokrąg. Takie były Kyles, Arran, półwyspy Knapdale i Kintyre, Jura, Islay, szeroko rozrzucone zręby skał skruszonych w czasie geologicznych przewrotów, tworzące rodzaj archipelagu na całej zachodniej części hrabstwa Argyle. Niepodobna wyznać tu wycinka morskiego horyzontu, na którym oko mogłoby pochwycić zachodzące słońce.

A zatem, nie chcąc opuszczać Szkocji, należało udać się albo na północ, albo bardziej na południe, ku szeroko ciągnącym się przestrzeniom, koniecznie jednak przed porą trwającą w jesieni mgły.

Dokąd się udadzą, było obojętne dla miss Campbell. Czy na brzegi Irlandii, Francji, Hiszpanii lub Portugalii, byle tylko udali się do takiego miejsca, w którym promieniejąca gwiazda pozdrawia ziemię ostatnim swym promieniem. A postanowiła tego koniecznie dokonać, bez względu, czy się to braciom Melvill podoba, czy nie.

Obaj panowie przygotowywali się do odpowiedzi, porozumiewając się spojrzeniami. Ale jakimi spojrzeniami, ileż to w nich było zręcznej filiterii i dyplomacji.

— A więc moja droga Heleno — rzekł brat Sam — nie ma nic łatwiejszego, jak spełnić twoje życzenie. Pojedziemy do Oban.

— Nie ulega wątpliwości, że nie ma odpowiedniejszej miejscowości jak Oban — dodał brat Sib.

— Jedźmy do Oban — odpowiedziała miss Campbell. — Ale czy jest morze w Oban?

— Czy jest? — zawołał brat Sam.

— Dwa morza! — krzyknął brat Sib.

— A zatem jedźmy.

— Za trzy dni — rzekł jeden z wujów.

— Za dwa dni — dodał drugi, który uważał za stosowne uczynić pewne ustępstwo.

— Nie, jutro — odparła miss Campbell, powstając w chwili, gdy odezwał się dzwonek przywołujący na obiad.

— Jutro... dobrze... jutro — dodał brat Sam.

— Chcielibyśmy już być na miejscu — wtrącił brat Sib.

Mówił prawdę. Dlatego ten pośpiech? Dlatego, że tam właśnie, w Oban, przebywał na letnim mieszkaniu pan Arystobul Ursiclos. I dlatego wreszcie, że miss Campbell, nie wiedząc o niczym, znajdzie się nagle wobec młodzieńca, wybranego spośród uczonych najmniej nudnych, tak przynajmniej sądzili obaj bracia Melvill. Myśleli oni nadto, że miss Campbell, znużywszy nadaremnie wzrok badaniem zachodzącego słońca, wyrzeknie się swej fantazji i skończy na tym, że wyciągnie rękę do swego narzeczonego. Zresztą

Helena wcale się nie domyśli zręcznego podstępu. Obecność pana Arystobula Ursiclosa wcale jej nie zmiesza.

— Bet!
— Beth!
— Bess!
— Betsey!
— Betty!

Seria imion znowu rozległa się donośnie w salonie, lecz tym razem pani Bess przybyła i otrzymała polecenie przygotować się do natychmiastowej nazajutrz podróży.

Rzeczywiście trzeba się było spieszyć. Barometr, który się podniósł do 30,3 cala (769 mm), zapowiadał stałą pogodę do pewnego czasu. Wyjechawszy rano nazajutrz, przybędą dość wcześnie i będą mogli obserwować zachód słońca.

Naturalnie przez cały ten czas i pani Bess, i Partridge byli nadzwyczaj zajęci przygotowaniem. Czterdzieści siedem kluczy w kieszeni jej sukni brzęczało jak dzwonek muła hiszpańskiego. Wiele trzeba było otworzyć szaf, wiele szuflad i wiele potem znowu zamknąć. Być może, że dom w Helensburgh pozostanie na długo osamotniony. Czyż nie trzeba liczyć się z kaprysmi miss Campbell? A jeżeli się jej podoba po ujrzeniu zielonego promienia zrobić dalszą wycieczkę? Jeżeli zielony promień nie przedstawi się jak należy i ukryje przed nią część swoich powabów? Jeżeli wreszcie horyzont w Oban nie będzie dość odpowiedni, dość jasny do wykonania owej obserwacji? Jeżeli będzie potrzeba szukać innego posterunku astronomicznego na bardziej południowych brzegach Szkocji, Anglii lub Irlandii lub udać się na stały ląd, wyjadą jutro niewątpliwie, ale kiedy powrócą? Za miesiąc, za pół roku, za rok, za dziesięć lat?

— Skąd ta chęć oglądania zielonego promienia? — zapytała pani Bess Partridga, który jej dopomagał.

— Nie wiem — odpowiedział tenże — ale musi to mieć swoje znaczenie, bo wiesz *mavourneen*, że nasza kochana młoda pani nie czyni nic bez przyczyny.

Mavourneen jest wyrażeniem szkockim oznaczającym to samo co „moja droga”, a dzielna kobieta nie gniewała się, że ją w podobny sposób tytułował pocziwy Partridge.

— Jestem zupełnie tego samego zdania, Partridge, że fantazja miss Campbell ukrywa w sobie jakąś tajemną myśl.

— Jaką?

— Któż wie? Może to właśnie zręczna odmowa, odroczenie spełnienia zamiaru wujów.

— Rzeczywiście — potwierdził Partridge. — Nie wiem, dlaczego panowie Melvill tak się uporczywie zajmują tym panem Ursiclosem! Czy to rzeczywiście mąż odpowiedni dla naszej panienki?

— Bądź pewny — rzekła pani Bess — że jeżeli nie będzie całkowicie dla niej odpowiednim, nie pójdzie za niego. Powie śliczne „nie” swoim wujom, ucałuje jednego i drugiego, a nasi bracia ze zdumieniem zapytają się siebie, jakim sposobem mogli proponować człowieka, który jest zupełnie nieodpowiedni na małżonka. Co i mnie się zdaje.

— I mnie także.

— Uważasz, Partridge, serce miss Campbell jest jak szufladka zamknięta na trzy zamki. Tylko ona posiada do niego klucz i chcąc je otworzyć, trzeba ją o to prosić.

— Albo zabrać jej gwałtem — dodał poważnie Partridge.

— Nikt jej nie zabierze, gdyż nieustannie nad nim czuwa — odpowiedziała pani Bess. — Powiadam ci, że prędzej mi moją perukę wiatr zanieś na szczyt wieży kościelnej świętego Mungo, niż nasza panienka poślubi pana Ursiclosa.

— Południowiec! — zawołał Partridge, który choć się urodził w Szkocji, zawsze mieszkał na południe od Tweed.

Pani Bess potrząsnęła głową. Oboje rozumieli się doskonale. Z trudem godzili się, by ziemię Lowlands⁶ były częścią dawnej Kaledonii⁷, bez względu na traktaty Unii. Zresztą nie byli wcale zwolennikami ułożonego małżeństwa.

Spodziewali się czegoś lepszego dla miss Campbell. Nie zgadzaliby się nawet i wówczas, gdyby zaproponowany kandydat był odpowiedni.

⁶Lowlands — nizinna, południowa część Szkocji. [przypis edytorski]

⁷Kaledonia — historyczna kraina na północy Wielkiej Brytanii, w większości pokrywająca się z terenami dzisiejszej Szkocji. [przypis edytorski]

— Ach, Partridge — rzekła pani Bess — dawne obyczaje górali były dużo lepsze i małżeństwo dopełnione wedle tradycji klanów było dużo szczęśliwsze niż dziś.

— Wypowiedziałas, moja droga, istotną prawdę — odparł poważnie Partridge. — Dawniej szukano więcej w okolicy serca, a mniej w okolicy kieszeni. Pieniądze są dobre, bez wątpienia, ale uczucie lepsze.

— Tak jest, Partridge. Starano się przed ślubem dobrze nawzajem poznać. Przypominasz sobie zapewne, co się działo na jarmarku świętego Olla w Kirkwall? Przez cały czas jego trwania, od początku sierpnia, młodzi ludzie kojarzyli się w pary, a te pary nazywano „bratem i siostrą pierwszego sierpnia”. Brat i siostra, czyż to nie jest łatwy sposób przysposobienia męża i żony? I zobacz, teraz właśnie mamy porę, kiedy zaczyna się jarmark świętego Olla. Dałby Pan Bóg, żeby wróciły dawne zwyczaje!

— Oby cię wysłuchał — odpowiedział Partridge. — I pan Sam, i pan Sib, gdyby się byli skojarzyli z jakimi ładnymi Szkotkami, nie uniknęliby wspólnego wszystkim losu i miss Campbell miałyby dwie ciotki więcej w rodzinie.

— Zgadzam się zupełnie — odpowiedziała pani Bess — ale zechciej teraz połączyć w parę miss Campbell z panem Ursiclosem, a prędzej Clyde przeniesie się z Helensburgh do Glasgow niż będą razem dłużej niż osiem dni.

Pomijając już niestosowność owej poufałości, jaką nakazywał zwyczaj w Kirkwall, dawno zapomniany, potrzeba przyznać, że następne fakty po części usprawiedliwiły twierdzenie pani Bess. Zresztą, ani miss Campbell, ani pan Arystobul Ursiclos nie byli „bratem i siostrą pierwszego sierpnia” i jeżeliby się rzeczywiście nie pobrali, to jedynie dlatego, że narzeczeni nie znali się wcale, jakby to miało miejsce wówczas, gdyby istniał jeszcze obyczaj jarmarczny na świętego Olla.

Wreszcie, prawdę mówiąc, jarmarki prowadzi się tylko dla interesów, nie zaś dla zawierania małżeństw. Niech więc pani Bess i pan Partridge dręczą się upadkiem zwyczajów, a my przystąpimy do dalszego ciągu naszej opowieści.

Odjazd został zdecydowany. Miejsce odpoczynku wybrane. W dziennikach *high life*, to jest wielkiego świata, w rubryce wczasów i letnich mieszkań, od jutra bracia Melvill i miss Campbell pomieszczeni zostaną na liście gości bawiących u wód w Oban. Kwestia w tym, w jaki to sposób się to stanie.

Do tego małego miasteczka, które leży nad brzegiem Mull, na północny wschód od Glasgow, dojeżdża się dwoma zupełnie odmiennymi drogami.

Pierwsza jest droga zwyczajna, lądem. Jedzie się do Bowling, potem do Dumbarton, prawym brzegiem rzeki Leven, około Balloch, leżącego na ostatnim krańcu Lomond, przebywa się najpiękniejszą okolicę jezior szkockich, około trzydziestu wysp między brzegami historycznymi, słynącymi z podań i tradycji o MacGregorze, MacFarlanie, przez kraj Rob Roya i Roberta Bruce’a, wreszcie dojeżdża się do Dalmally i stąd znowu drogą wijącą się po spadkach gór, ponad wodospadami, fiordami, w poprzek łańcucha wzgórz Grampians, przez doliny, w których rosną sosny, dęby, brzozy, tak że turysta schodzi do Oban oczarowany tym widokiem. Malownicze brzegi tej miejscowości można śmiało porównać z najpiękniejszymi krajobrazami rozścielającymi się nad Oceanem Atlantyckim.

Wycieczka zatem urocza, którą powinien odbyć każdy podróżnik zwiedzający Szkocję; jednakże na całej tej przestrzeni nie masz horyzontu morskiego. Otóż tedy bracia Melvill, którzy doradzili miss Campbell puścić się tą drogą, czy nie cofną swej propozycji?

Druga droga odbywa się rzeką lub morzem. Płynąc po rzece Clyde aż do zatoki tej samej nazwy, pomiędzy wyspami i wysepkami przyczepionymi do tej części oceanu jak olbrzymia ręka szkieletu, skąd po prawej stronie owej ręki płynie się do portu Oban. Tutaj to właśnie było czym przywabić miss Campbell, dla której cudowny kraj między jeziorem Lomond i jeziorem Katrine nie miał żadnej tajemnicy. Zresztą pomiędzy wyspami a zatoką znajdowała się przestrzeń okolona linią wody. Lecz czy przy zachodzie słońca, gdy na horyzoncie wypogodzonym nie pojawi się żadna chmurka, będzie można dostrzec zielony promień, którego istnienie trwa zaledwie piątą część sekundy?

— Pojmujesz tedy, wuju Samie — rzecze miss Campbell — i ty, wuju Sibie, że wystarczy na wszystko jedna chwila! Gdybym ujrzała to, co chcę widzieć, podróż by się skończyła i nie potrzeba by było wcale jechać do Oban.

Zupełnie innego przekonania byli bracia Melvill. Chcieli koniecznie jakiś czas zamieszkać w Oban, wiadomo dlaczego, i nie przypuszczali nawet, że zbyt szybkie pojawienie się zjawiska pomiesza im szyki.

Jednakże ponieważ miss Campbell miała głos stanowczy i ponieważ wybrała drogę morską, musiano się na to zgodzić.

— Bodaj licha porwało ten zielony promień — rzekł brat Sam, gdy miss Campbell oddaliła się ze salonu.

— I tych, którzy go wynaleźli! — dodał brat Sib.

IV. PONIŻEJ CLYDE

Nazajutrz, dnia drugiego sierpnia, z samego ranka miss Campbell w towarzystwie braci Melvill, z nieodstępnym Partridge'em i panią Bess, wsiadła do wagonu kolei w Helensburgh. Należało w Glasgow przesiąść się znowu na statek parowy płynący do Oban, ponieważ w tej okolicy pociąg nie zatrzymywał się wcale.

O godzinie siódmej pociąg dostawił pięć osób do dworca kolei w Glasgow, a następnie do Broomielaw Bridge pojechali powozem.

Tam już statek Columbia oczekiwał na swych pasażerów, z obu kominów buchały kłęby dymu łącząc się z mgłą jeszcze gęstą unoszącą się nad Clyde; lecz wyziewy wodne poranku zaczęły się z wolna rozpraszać i rożek z tarczy słonecznej zarysował się na niebie jakby plama złota. Zapowiadało to wysmienitą pogodę.

Miss Campbell i jej towarzysze wkrótce dostali się do statku, nakazując przenieść na pokład swoje pakunki.

W tej chwili po raz trzeci i ostatni rozległ się dźwięk dzwonu wzywający opóźnionych. Po czym maszynista zasiadł tuż przy maszynie, poruszyły się tryby kół, to naprzód, to w tył, podnosząc ogromną masę żółtawej wody, rozległa się piszczałka, zdjęto mostek, odczepiono liny przytrzymujące statek i Columbia popłynęła szybko.

W Zjednoczonym Królestwie podróźni nie mogą zgoła narzekać, ponieważ towarzystwa wszędzie przygotowały statki do ich dyspozycji. Nie znajdzie się ani jeden pas wody, ani najmniejsze jezioro, ani żadna zatoka, w której by codziennie nie przesuwaly się eleganckie parowce. Nic dziwnego, że na rzece Clyde liczba ich jest bardzo znaczna. Nawet wzdłuż Broomielaw Street na nabrzeżu widzieć się dają w wielkiej liczbie statki parowe z bębniami, czyli kołami pomalowanymi na rozmaite kolory, poczynając od cynobru, a kończąc na złocie, buchające dymem i zawsze gotowe do wypłynięcia w rozmaitych kierunkach.

Columbia nie była wyjątkiem od ogólnej reguły. Statek to bardzo długi, na przodzie bardzo wysmukły, bardzo dzielny na swej linii wodnej, zaopatrzony w olbrzymią maszynę o szerokiej średnicy, odznaczał się nadzwyczajną szybkością. Co do wnętrza, salony urządzone z możliwym komfortem jak niemniej i sala jadalna; na pokładzie szeroka weranda, rodzaj namiotu pokrytego lekką materią, z ławkami i siedzeniami wygodnymi i miękkimi, prawdziwy taras otoczony elegancką galeryjką, na którym podróźni mieli wyborne powietrze i pyszny widok.

Podróżnych nigdy nie brakło. Było ich sporo już to przybywających ze Szkocji, już z Anglii. Sierpień należał do pory, w której najwięcej odbywa się wycieczek. Między innymi najbardziej uczęszczanymi miejscami była okolica nad Clyde i Hebrdy. Na pokładzie zgromadziły się rodziny wyraźnie obdarzone błogosławieństwem co do liczby członków; młode dziewczęta niezmiernie wesołe, młodzieńcy nadzwyczaj poważni, dzieci przywykłe już do wypadków podróży; dalej pastorki, zwykle bardzo liczni na okrętach, w wysokich jedwabnych kapeluszach, w długich czarnych sutannach ze stojącym kołnierzem, w białych krawatach, spadających aż na brzeg kamizelki; potem właściciele ziemscy w beretach szkockich, przypominających swą ociężałą powierzchownością dawniejszych tak zwanych *bonnet lairds*⁸ sprzed sześćdziesięciu laty; na koniec pół tuzina cudzoziemców, przeważnie Niemców, którzy nawet poza granicami Niemiec nie tracą nic ze swej oryginalności, i dwóch lub trzech Francuzów, zawsze żywych, wesołych i ruchliwych.

⁸*bonnet lairds* (ang.) — drobni posiadacze ziemscy w daw. Szkocji, noszący berety jak uboższa ludność. [przypis edytorski]

Gdyby miss Campbell podobna była do większej części swoich ziomek, którzy od chwili dostania się na okręt nie zmienili dotąd siedzącej pozycji, nie widziałaby brzegów rzeki Clyde płynącej przed jej wzrokiem. Ale ona lubiła ruch, nie mogła zatem pozostać na jednym miejscu, przebiegała pokład wzdłuż i wszerz, przypatrując się nieustannie przesuwanym się miastom, zamkom, chatom rozsianym po brzegach. Stąd też wywiązała się rozmowa i bracia Sam i Sib odpowiadali na jej zapytania, objaśniali, a wreszcie zgodzono się, że nie potrzeba odpoczywać między Glasgow a Oban. Zresztą nie skarżyli się wcale, przyjąwszy na siebie obowiązek nieodstępного strzeżenia młodej dziewczyny, i zamiast chmurzyć się, poszli za wrodzonym instynktem i okazywali wyśmienity humor.

Pani Bess i Partridge, zajmując miejsce na tyle pokładu, rozmawiali po przyjacielsku o minionych czasach, o zapomnianych zwyczajach, o organizacji starożytnych klanów. Gdzie się podziały dawne wieki, po których pozostało tylko smutne wspomnienie. W owej epoce czystego horyzontu Clyde nie zaciemniał dym wydobywający się z fabrycznych kominów, nie rozlegał się nad jej przestrzenią huk i trzask przesuwanym się statków, nie mąciły jej bezwzględного spokoju tysiączne okręty buchające parą.

— Czasy te powrócą wcześniej, niż myślimy — rzekła pani Bess przekonywującym głosem.

— Tak się spodziewam — odparł Partridge — a wraz z nimi powrócą i dawne obyczaje naszych przodków.

Tymczasem z pokładu Columbi widać było mknące na prawo i na lewo brzegi Clyde, rozścielając się przed wzrokiem podróżnych malownicza panorama. Z prawej widać było wieś Patrick u ujścia rzeki Kelvin i szerokie doki przeznaczone do budowy żelaznych statków, a znajdujące się naprzeciw Grovan, położonego na drugiej stronie. Co za straszliwy huk i brzęk żelaza, jakież dym gęsty, jakie wyziewy, drażniły słuch i wzrok Partridge'a i jego towarzyszeki.

Wreszcie jednak ten hałas jako oznaka zakładu przemysłowego, ten dym z węgla, z wolna zaczął zniknąć. Zamiast otwartych na oścież magazynów, warsztatów okrętowych, zamiast wysokich kominów fabrycznych, olbrzymich składów żelaza, podobnych do klatek dla mastodontów, pojawiły się powabne siedliska, domki i wille ukryte w cieniu drzew, letnie mieszkania zbudowane w stylu anglosaskim, rozproszone po wzgórzach porośniętych zielenią. Były one jakby przedłużeniem nierozzerwanego łańcucha wiejskich domków i zamków, znajdujących się pomiędzy jednym a drugim miastem.

Clyde od tego właśnie miejsca płynęła coraz szerszym korytem, wydając się prawdziwą odnogą morską. Pani Bess i Partridge powitali z przyjemnością ruiny zamku Douglasów, które przypominały kilka epizodów z historii Szkocji, ale odwrócili oczy od obelisku wzniesionego na cześć Harry'ego Bella, wynalazcy pierwszego statku mechanicznego, którego koła mąciły tonie wód spokojnych.

Nieco dalej turyści z Murrayem⁹ w ręku, przyglądali się zamkowi Dumbarton, który się wznosił na pięćset lub więcej stóp nad morzem na bazaltowej skale. Z dwóch ostrosłupów zakończających jego szczyty wyższy nosił nazwę Tronu Wallace'a, jednego z bohaterów w walce o niepodległość.

W tej chwili jakiś gentleman z wysokości mostka okrętowego, nieproszonego zupełnie przez nikogo, chociaż wystąpienie jego nie było zgoła nieprzyjemne, rozpoczął pewien rodzaj wykładu dla zapoznania z historią towarzyszy podróży. W pół godziny później już nie wolno było żadnemu pasażerowi, chyba tym tylko, którzy byli głusi, nie wiedzieć, że prawdopodobnie Rzymianie ufortyfikowali Dumbarton; że te skały historyczne przekształciły się w fortecę królewską z początkiem trzynastego wieku; że skutkiem dobrodziejstwa układu Unii, zaliczają ją do czterech miejscowości Królestwa Szkockiego niepodlegających nigdy zburzeniu; że z tego portu Maria Stuart w roku 1548 wyjeżdżała do Francji, na ślub swój z Fanciszkiem II, by się stać „królową jednego dnia”, a zaś w roku 1815 był tutaj osadzony Napoleon, zanim minister Castlereagh zdecydował się zamknąć go na Wyspie Świętej Heleny.

— Bardzo rzeczy pouczające — rzekł brat Sam.

⁹Murray — tu: jeden z przewodników turystycznych wydawanych w Londynie przez Johna Murraya od 1836 r. [przypis edytorski]

— Nauczające i ciekawe — odpowiedział brat Sib. — Ten gentleman zasługuje na pochwały z naszej strony.

Rzeczywiście obaj bracia nie tracili ani jednego słowa z tej uczonej konferencji. Nie zaniedbali też okazać nieznanemu profesorowi dowodów swego uznania.

Miss Campbell, pogrążona w myślach, zupełnie nie słuchała tej lekcji historii. Przy najmniej teraz wcale nie była ciekawa. Nie spojrziała nawet na prawy brzeg rzeki, na którym znajdowały się ruiny zamku Cardross, gdzie zmarł Robert Bruce. Zajmował ją tylko horyzont morza, nie mogła jednak dopóty należycie mu się przypatrzeć, dopóki Columbia nie wypłynie na pełne morze, pozostawiwszy na boku brzegi Clyde, wzgórze i pagórki otaczające zatokę. Tymczasem statek przepływał obok miasteczka Hellensburgh, portu Glasgow, ruin zamku Newark i półwyspu Roseneath, które młoda miss Campbell widywała codziennie z okien pokoju. Zapytywała się też, czy statek nie popłynie czasem na figlarne wody jej parku.

A dalej jeszcze, dlaczego myśl jej gubiła się pośród setki statków, które się gromadziły w porcie Greenock u ujścia rzeki? Cóż ją to obchodziło, że nieśmiertelny Watt urodził się w tym mieście, mającym czterdzieści tysięcy mieszkańców, a będącym jakby przed-pokojem przemysłowego i handlowego Glasgow? Dlaczego o trzy mile stamtąd miałyby zatrzymać swe spojrzenie na wsi Gourrock leżącej po lewej stronie i na wsi Dunoon leżącej po prawej stronie fiordu?

Wiemy dlaczego, oto miss Campbell szukała niecierpliwie wieży na ruinach w Leven. Czy sądziła, że jej się pokaże jakie dziwne zjawisko? Bynajmniej, ale chciała być pierwsza, zapowiadając zbliżenie się do latarni morskiej Clock, która oświetla ujście Firth of Clyde.

Nareszcie za zakrętem rzeki ukazała się latarnia jak olbrzymia lampa.

— Clock, wuju Samie — mówiła — Clock! Clock!

— Tak jest, Clock — odpowiedział brat Sib niby echo.

— Morze, wuju Sibie.

— Morze, rzeczywiście — dodał Sib.

— Jak to jest cudowne! — wykrzyknęli obaj bracia.

Można by myśleć, że je widzą po raz pierwszy.

Nie ulegało wątpliwości: w zatoce był horyzont morski.

Tymczasem słońce nie przebyło jeszcze połowy swego dziennego biegu. Na pięćdziesiątym szóstym równoleżniku musi upłynąć co najmniej siedem godzin, nim zajdzie poza fale wód... siedem godzin niecierpliwego oczekiwania dla miss Campbell! Zresztą horyzont zarysowywał się tu ku południo-zachodowi, to jest obejmował wycinek łuku, którego nie dotyka promienna gwiazda, chyba że w zimie, gdy jest najbardziej oddalona od równika. Nie tu więc należało szukać pojawienia się fenomenu, lecz bardziej jeszcze ku zachodowi, a nawet nieco ku północy, ponieważ pierwsze dni sierpnia poprzedzają o sześć tygodni zrównanie dnia z nocą, mające miejsce we wrześniu.

Ale to nic nie szkodzi, bo oto morze rozwijało się teraz w całym majestacie przed wzrokiem miss Campbell. Naprzeciw przesmyku, między wyspami Cumbrae, a powyżej wielkiej wyspy Bute, powyżej małych grzbietów wyspy Aisla Craig i gór wyspy Arran, linia nieba i wody zarysowała się w całej szerokości tak czysto i równo jakby pociągnięta piórem.

Miss Campbell obserwowała wszystko głęboko zamyślona, nie odzywając się wcale. Stojąc na ławeczce okrętu bez ruchu, obłana słońcem, zdawała się mierzyć długość łuku, jaki oddzielał je jeszcze od punktu, w którym zanurzy się w wodach Archipelagu Hebrzydzkiego. Były tylko nieba, w tej chwili tak jasnego jeszcze i czystego, nie zaciemniły wieczorne opary.

Jakiś głos wyrwał ją z zamyślenia.

— Otóż nadeszła godzina — rzekł brat Sib.

— Godzina? Jaka godzina, moi wujowie?

— Godzina śniadania — rzekł brat Sam.

— Chodźmy więc — odpowiedziała miss Campbell.

V. ZE STATKU NA STATEK

Po śniadaniu, składającym się w połowie z potraw na zimno, a w połowie gorących, jednym słowem po wybornym śniadaniu na sposób angielski, spożytym w *dining roomie*¹⁰ Columbii, miss Campbell i bracia Melvill powrócili na pokład.

Helena nie mogła powstrzymać się od krzyku przerażenia, gdy nareszcie zajęli miejsce pod werandą:

— A mój horyzont? — zapytała.

Rzeczywiście od kilku chwil widnokrąg jakby zupełnie znikł. Statek, zwróciwszy się ku północy, płynął teraz cieśniną Kyles of Bute.

— To bardzo niedobrze, wuju Samie — rzekła miss Campbell mocno nadąsana.

— Ależ, moja droga córko...

— Będę o tym pamiętała, wuju Sibie...

Obaj bracia nie mogli zdobyć się na odpowiedź. Jednak nie można ich było winić, że Columbia, zmieniawszy kierunek, popłynęła ku północnemu zachodowi.

Rzeczywiście były dwie różne drogi prowadzące morzem z Glasgow do Oban.

Pierwsza, po której nie płynęła wcale Columbia, jest zbyt długa. Uczyniwszy przestanek w Rothesay, czarownej miejscowości na wyspie Bute, przyozdobionej starożytnym zamkiem z XI wieku, otoczonej na zachodzie głębokimi dolinami, które tym sposobem ochraniały ją od wichrów nadciągających z pełni morza, statek płynął w dół brzegów zatoki Clyde, potem wzdłuż wyspy, przesunął się obok wielkiej i małej Cumbrae i skierował się w prostym kierunku aż ku południowej części wyspy Arran, która całkowicie należy do księcia Hamilton, mianowicie od podstawy swych skał aż do cypla Goatfell wznoszącego się na 800 metrów nad poziom morza. Wówczas to sternik poruszył sterem, kompas skierowano ku zachodowi, powtórnie statek okrążył wyspę Arran, zwrócił się ku półwyspowi Kintyre, leżącego na zachodnim wybrzeżu, potem popłynął przejściem przy wysepce Gigha, wszedł Sound of Gigha, lawirując pomiędzy wyspami Islay i Jura, i dotarł do rozwartego wejścia Firth of Lorn, które zwęża się aż do zamknięcia nieco powyżej Oban.

Wreszcie, jeżeli miss Campbell miała słuszną przyczynę do narzekania, że Columbia nie popłynęła tą drogą, i bracia nie mniej żalowali tego.

Bo rzeczywiście, przepływając przy brzegu Islay, ujrzeliby ową sławną starożytną rezydencję MacDonaldów, którzy w początku XVII stulecia, zwyciężony i wypędzony, zmuszeni byli ustąpić miejsca Campbellom. Wobec tej miejscowości o tak doniosłym historycznym znaczeniu, bracia Melvill, nie wyłączając nawet pani Bess i Partridge'a, byłiby jednoznacznie poczuli mocne bicie serca.

Co zaś do miss Campbell, widnokrąg, tak już oplakany, pojawiłby się później przed jej okiem. Rzeczywiście, od Arran aż do wzgórza Kintyre morze rozciąga się na południe; podobnie jak od Mull aż do szczytów Islay morze rozpościera się na zachód, ograniczone dopiero trzy tysiące mil dalej brzegami Ameryki.

Lecz ta droga jest długa i po części przykra, jeżeli nie niebezpieczna, bo trzeba zwracać uwagę na pasażerów, którzy doznają niezmierniej trwogi, gdy muszą przebywać okolice Hebrydów bardzo często nawiedzanych przez straszliwe burze.

Inżynierowie, a między nimi i Lesseps, postanowili przekształcić półwysep Kintyre w zupełną wyspę. Dzięki ich pracom w poprzek północnej części wykopany został Kanał Crinan, w skutek czego drogę skrócono o jakie dwieście mil i do przebycia jej wystarczają trzy lub cztery godziny.

Otóż tę drogę obrała Columbia udając się z Glasgow do Oban, przez cieśniny i kanały, mając za cały widok piaski, lasy i góry. Ze wszystkich pasażerów tylko jedna miss Campbell żałowała, że nie udano się tamtą drogą, lecz trzeba było ulec konieczności. Zresztą, czyż nie ujrzy horyzontu morskiego dalej nieco od Kanału Crinan, cokolwiek później, a zanim jeszcze słońce ostatnim promieniem muśnie fale wodne?

W chwili kiedy turyści, spóźniwszy się z przybyciem do sali jadalnej, weszli na pokład, Columbia przepływała przez zatokę Loch Riddan, około małej wysepki Ellengregig, ostatniej fortecy, w której chronił się książę Argyle, zanim jako bohater pokonany

¹⁰*dining room* (ang.) — jadalnia. [przypis edytorski]

w walce o swobody polityczne i religijne Szkocji nie złożył głowy pod szkocką gilotyną w Edynburgu.

Potem statek zwrócił się ku południowi, przepłynął przez cieśninę Bute, pośród uroczej panoramy wysp piaszczystych i lesistych, których wylaniające się zarysy osłania lekka mgła. Na koniec, minawszy przylądek Ardlamont, okręt wrócił na kurs północny, pozostawiając po lewej wieś East Tarbert, przesunął się około przylądka Ardrishaig i dotarł około zamku Lochgilphead do wejścia do Kanału Crinan.

W tym miejscu trzeba było wysiąść z Columbii, zbyt wielkiej do żeglowania po kanale. Kanał ten, którego ściany podtrzymuje piętnaście słuz, na całej dziewięćmiłowej długości pozwala przepływać tylko wąskim statkom niezbyt pogłębiającym się w wodzie.

Mały statek parowy Linnet czekał na podróżnych Columbii. Przesiadki dokonano w ciągu kilku minut. Każdy pomieścił się wygodnie na tarasie pod werandą statku, po czym Linnet szybko pomknął ku kanałowi, gdy tymczasem jakiś *bagpiper*¹¹ grający na dudach, ubrany w strój narodowy, zaczął produkować się na swym instrumencie. Muzyka to bardzo smutna, której towarzyszą ponure dźwięki trzech basów, na sposób dawnych pieśni z minionych wieków. Przejażdżka kanałem jest nadzwyczaj przyjemna, płynie się bowiem już to pomiędzy wysokimi wzgórzami obrosłymi krzakami, już to dotyka równin, na których widnieją gaje lub szeroko ciągnące się pola. Statek często się zatrzymywał przed słuzami. Kiedy pracownicy otwierali słuzę, młode chłopcy i młode dziewczęta, miejscowi, nadbiegali, ofiarując turystom mleko prosto od krowy, mówiąc językiem gaelickim, którym niegdyś posługiwali się Celtowie, niezrozumiałym nawet dla Anglików.

W sześć godzin później — statek miał dwie godziny opóźnienia przy źle działającej słuzie — szeregi domów i folwarczków smutnego wyglądu oraz rozległe bagna, rozciągające się po prawej stronie kanału, pozostały w tyle. Linnet zatrzymał się niedaleko wsi Ballanoch. Po raz drugi należało się przesiąść. Pasażerowie Columbii stali się pasażerami Glengarry i udali się w kierunku północno-zachodnim, aby tym sposobem wydostać się z Zatoki Crinan i ominąć punkt, na którym wznosił się feudalny zamek Duntrune Castle.

Od chwili opuszczenia wyspy Bute horyzont wcale nie odsłonił się.

Można sobie wyobrazić niecierpliwość miss Campbell. Na tej przestrzeni ograniczonych dokoła wód, zdawało się, że to jeszcze Szkocja, że to okolice jezior, że to kraj Rob Roya. Wszędzie malownicze wyspy, wszędzie brzozy lekko poruszane wiatrem, kołyszące się niedbale.

Wreszcie Glengarry minął północną część wyspy Jura i pomiędzy tym miejscem a wyspą Scarba morze uwidoczniło się aż do tej linii, w której niby zlewa się z niebem.

— Otóż i upragniony horyzont, moja droga Heleno — rzekł brat Sam, wskazując ręką zachód.

— To nie nasza wina — dodał brat Sib — że te przekłete wyspy założone przez starego Nicka, zaciemniały horyzont.

— Przebaczone wam obu, moi wujowie — odpowiedziała miss Campbell — ale niech się więcej nic podobnego nie wydarzy.

VI. ODMĘT CORRYVRECKAN

Była godzina szósta wieczorem. Słońce przebyło zaledwie cztery piąte swego okręgu. Najniezawodniej Glengarry przybędzie do Oban, zanim gwiazda dzienna spocznie w głębiach Oceanu Atlantyckiego. Miss Campbell tedy była przekonana, że jej życzenia spełnią się jeszcze dzisiejszego wieczoru. W istocie czyste, bez chmury niebo, niezaciemnione żadnym wyziewem, wydało się jej odpowiednie do badania zjawiska, a horyzont morski widziany był między wyspami Oronsay, Colonsay, Mull w całej swej rozległości. Lecz nadspodziewane wydarzenie opóźniło nieco bieg statku. Miss Campbell, zajęta stale swoją myślą, nie poruszając się z miejsca, ani na chwilę nie spuszczała oka z linii ciągnącej się między dwoma wyspami. Na stropie niebieskim światło odbijało się jak trójkąt z lanego srebra, ostatnim odbłaskiem oświetlając boki statku Glengarry.

Bez wątpienia na całym pokładzie tylko jedna miss Campbell zwracała szczególną uwagę na tę część horyzontu; ona też jedna spostrzegła, jak morze było wzburzone od swych krańców aż do wyspy Scarba. W tym samym czasie dobiegł do jej uszu głuchy

¹¹*bagpiper* (ang.) — osoba grająca na dudach szkockich, dudziarz. [przypis edytorski]

odgłos jakby uderzeń żelaza. Mimo to lekki wietrzyk zaledwie muskał powierzchnią morza i marszczył fale prawie lepkie, tak były spokojne i nieruchome po przejściu okrętu.

— Skąd pochodzi ten hałas? — zapytała miss Campbell, zwracając się do swych wujów.

Bracia Melvill byli tym niezmiernie zakłopotani, bo nie pojmowali wcale, jakie to hałasy mogły pochodzić z miejsca oddalonego o jakie trzy mile.

Miss Campbell zatem zwróciła się do kapitana Glengarry przechadzającego się poważnie po wzniesieniu, pytając, co znaczyły te huki i wznoszenie się morza.

— Zwykle zjawisko — odparł kapitan. — To, co pani słyszysz, jest hukiem wychodzącym z odmętów Corryvreckan.

— Ależ pogoda przepyszna — rzekła znowu miss Campbell — zaledwie daje się uczuwać lekki wietrzyk.

— Zjawisko to nie zależy wcale od pogody lub niepogody — odpowiedział kapitan. — Jest to skutek przybierającego morza, które wypływając z Jura Sund, nie znajduje innego wyjścia jak między dwoma wyspami Jura i Scarba. Fale toczą się z niesłychaną szybkością i wielkie niebezpieczeństwo grozi tam małym, lekkim statkom.

Odmęt Corryvreckan ma tutaj straszliwą opinię i należy do najciekawszych miejsc na archipelagu Hebrydów. Można by go porównać do burzliwego prądu Sein, powodowanego zwężeniem się morza pomiędzy wyspą o tej nazwie a zatoką Baie des Trépassés na brzegach Bretanii, i do odmętów cieśniny Blanchart, przez którą przechodzą wody kanału La Manche między Aurigny i gruntami Cherbourg. Podanie twierdzi, że zawdzięcza on nazwę księciu skandynawskiemu, którego okręt zatonął w czasach celtyckich. Rzeczywiście jest to przejście niebezpieczne, gdzie okręty łatwo się rozbijają i giną. Ma ono taką samą straszliwą sławę jak Maelström na brzegach Norwegii.

Tymczasem miss Campbell przypatrywała się gwałtownej fluktuacji odmętu, gdy nagle jej uwagę zwróciła cieśnina. Tutaj zdawało się, że jakaś skała tkwi pod wodą na środku cieśniny, woda burzyła się jak fale po niedawno przebytej burzy.

— Niech pan patrzy, kapitanie — rzekła miss Campbell — czy to nie jest przypadkiem skała?

— Rzeczywiście — odpowiedział kapitan — jeżeli tylko nie jest to jakiś przedmiot wyrzucony przez morze... to...

I wzięwszy lunetę...

— Łódź! — zawołał.

— Łódź? — powtórzyła miss Campbell.

— Tak jest! Nie myślę się. Szalupa bliska zatonięcia w wodach Corryvreckan.

Na te słowa kapitana podróżni zaczęli się cisnąć na wzniesienie. Patrzyli w stronę odmętu. Że łódź została pociągnięta odmętami, nie ulegało wątpliwości. Pochwycona przyplływem morza, opanowana przez ruchliwe fale, pędziła ku oczywistej zgubie...

Wszystkie spojrzenia skierowały się w tamtą stronę, o cztery lub pięć mil od Glengarry.

— To niezawodnie zabłąkana łódź — wyrzekł jeden z pasażerów.

— Ależ nie, przecież widzę jakiegoś człowieka — dodał drugi.

— Jeden człowiek... dwóch ludzi! — zawołał Partridge, który właśnie znalazł się obok miss Campbell.

W istocie było tam dwóch ludzi. Nie mogli sobie poradzić z łodzią. Przy słabym bardzo wietrze, nie podobna im było wycofać się, a robiąc wiosłami, nie posuwali się ani naprzód, ani w tył.

— Kapitanie — zawołała miss Campbell — nie pozwolimy zginąć tym nieszczęśliwym!... Zguba ich nieuchronna, gdy nie pospieszymy z pomocą. Należy koniecznie tam podpłynąć... koniecznie!...

Wszyscy podróżni byli tego samego zdania i wszyscy też czekali na odpowiedź kapitana.

— Glengarry — rzekł — nie może się narażać. Lecz kiedy się zbliżymy, osiągniemy szalupę.

I zwracając się do pasażerów, zdawał się pytać o ich przyzwolenie.

Miss Campbell jeszcze raz zawołała:

— Trzeba kapitanie, trzeba koniecznie. Moi towarzysze podróży tego samego pragną, co ja.. Chodzi tu o życie dwóch ludzi, których możemy uratować... Proszę pana!

— Tak jest! Tak jest! — zawołali niektórzy z pasażerów, wzruszeni gorącą prośbą tej młodej dziewczyny.

Kapitan wziął lunetę, badał uważnie kierunek wiatru i przepływ fal, po czym rzekł do sternika stojącego obok niego:

— Bacność! Do steru! Kierować statek w prawo!

Pod działaniem steru statek zwrócił się na zachód od przylądka. Maszynista otrzymał rozkaz zdwojenia pary i Glengarry na lewo pozostawił wyspę Jura.

Nikt nie odezwał się. Wszystkich spojrzenia skierowane były na coraz lepiej widoczną łódź.

Nie była to wcale łódka rybacka, gdyż miała wysoki maszt, ale złożony, bo niepodobna było oprzeć się gwałtownemu wiatrowi.

W szalupie znajdowało się dwóch ludzi, jeden spoczywał na tyle łodzi, drugi z wysiłkiem robił wiosłami. Jeżeli mu się nie powiedzie cofnąć szalupy, obaj będą zgubieni.

W pół godziny później Glengarry dotarł do granic Corryvreckan i rozpoczął swój szybki bieg ku pierwszym falom; nikt na statku nie pytał nawet, czy szybkość prądu może być niebezpieczna dla okrętu.

Rzeczywiście w tej części cieśniny morze było zupełnie białe, jak gdyby wewnętrzny ruch fal burzył je nieustannie. Widziano tylko pianę buchającą olbrzymimi masami, wzniecaną uderzeniami bałwanów o ukryte w głębi przeszkody.

Szalupa była tylko o pół mili od nich. Z dwóch ludzi, ten, co był nachylony nad sterem, wyęczał wszystkie siły, aby się wycofać z odmętu. Zrozumiał doskonale, że Glengarry przybywa im na pomoc, ale pojmował i to, że statek nie może bez niebezpieczeństwa bardziej zbliżyć się do nich i że to oni muszą koniecznie podплыć do niego. Drugi, spoczywający na tyle, zdaje się jakby był zupełnie pozbawiony czucia i ruchu.

Miss Campbell pod wpływem nadzwyczajnego wzruszenia nie spuszczała oka z zagrożonej niebezpieczeństwem szalupy. To ona pierwsza zauważyła jej położenie i to dzięki jej wstawiennictwu Glengarry płynął ku niej.

Jednakże położenie stawało się coraz groźniejsze. Była nawet obawa, że Glengarry nie przybędzie na czas. Płynął teraz bardzo powoli, z ostrożnością i bacnością. Przygaszono nieco ogień i okręt posuwał się dość żywo, ale jednak miarkował swój bieg, jak to ma miejsce przy wprowadzaniu statków do portu.

Szalupa tymczasem nie mogła zgoła wycofać się ze środka fal uderzających nań z szybkością piorunu. Czasami zupełnie nikła pod naporem olbrzymiej masy wody, czasami znowu kręciła się w koło lub biegła z prędkością kamienia wyrzuconego z procy.

— Prędeż! Prędeż! — wołała miss Campbell, nie mogąc powstrzymać niecierpliwości.

Ale na widok tych szalejących bałwanów już niektórzy z pasażerów poczęli wydawać krzyki przerażenia. Kapitan zrozumiał odpowiedzialność, na jaką się naraża, zaczął więc powoli powstrzymywać bieg statku kierującego się co raz bardziej ku stronie Corryvreckan.

Jednak między okrętem a szalupą nie było więcej niż dwieście metrów odległości, można już było doskonale widzieć tych nieszczęśliwych walczących ze śmiercią.

Był to stary marynarz i młodzieniec; pierwszy leżał na tyle statku, drugi walczył z falami.

W tej chwili wielki bałwan uderzył o burtę okrętu i uczynił położenie jeszcze trudniejszym.

Kapitan nie mógł zbliżyć się bardziej do odmętu i zaczął manewrować w ten sposób, aby mógł bez niebezpieczeństwa pozostać na miejscu.

Nagle szalupa, zadrżawszy, znikła w masie szalejących fal!

Na pokładzie wydano jeden okrzyk, okrzyk przerażenia!

Czy rzeczywiście szalupa została przewrócona? Nie, unosiła się jeszcze nad bałwanami, ale napór wody coraz bardziej oddalał ją od okrętu.

— Trzymajcie się! — wołali majtkowie zebrani na pokładzie okrętu, gotując liny do rzucenia na szalupę.

Kapitan kazał zdwoić parę i Glengarry szybkim ruchem posunął się ku odmętowi. Zarzucono liny, które z niezmierną szybkością oplotły się wokół masztu szalupy, gdy tymczasem Glengarry wypuścił kontrparę i pociągnął za sobą przyczepioną już teraz do niego łódź.

W tej chwili młodzieniec, oddalając się od steru, pochwycił w ramiona swego towarzysza, a marynarze dopomogli mu w przeniesieniu starca na pokład.

Nowa fala uderzyła w szalupę, a młodzieniec, zapominając o własnym niebezpieczeństwie, zręcznie skoczył i dostał się do okrętu. Nie stracił wcale zimnej krwi, twarz jego była spokojna, a cała postawa okazywała, że posiada nie tylko odwagę moralną, ale i niepoślednią siłę fizyczną.

Z całą przytomnością umysłu pospieszył do starca, zajmując się nim z wielką troskliwością. Był to właściciel szalupy. Szklanka wódki, którą podano mu na okręcie, w okamgnieniu postawiła go na nogi.

— Panie Oliwierze! — rzekł.

— Ach, mój poczciwy stary! — zawołał młodzieniec. — A nasza wyprawa morska?

— To nic. Widziałem ich dosyć! Teraz nie mamy się czego obawiać.

— Dzięki Bogu, ale to skutkiem mojej niebaczności moglibyśmy byli przypłacić życiem. Wielka była nieroztropność z mojej strony, chcieć przepłynąć odmęt... Na szczęście jesteście uratowani.

— Z twoją pomocą, panie Oliwierze!

— Nie... z pomocą Boga.

Przy tych słowach młodzieniec przycisnął do piersi starego marynarza i usiłował zapanować nad wzruszeniem, które miało tylu świadków.

Następnie, zwracając się do kapitana Glengarry w chwili, kiedy ten schodził z pomostu obserwacyjnego, rzekł:

— Kapitanie, nie wiem, czym będę mógł odwdziżyć się panu za tę przysługę prawdziwie szlachetną.

— Panie — odpowiedział kapitan — wypełniłem tylko mój obowiązek i prawdę powiedziawszy, moi pasażerowie bardziej niż ja zasługują na podziękowanie.

Młodzieniec uściśnął z uczuciem rękę kapitana; następnie, zdejmując kapelusz, ukłonił się z wdziękiem obecnym na pokładzie podróżnym.

Niewątpliwie bez pomocy Glengarry on i jego towarzyszy, pochwyceni odmętem Corryvreckan, byliby zginęli.

Tymczasem podczas całej tej sceny miss Campbell oddaliła się na stronę. Nie chciała, aby opowiedziano o niej, że to za jej staraniem cały ten dramat skończył się tak szczęśliwie. Właśnie stała na pomostku, gdy nagle jakby mimo woli zawołała:

— A promień? A słońce!

— Nie ma słońca! — odpowiedział brat Sam.

— Ani promienia! — dodał brat Sib.

Już było bardzo późno. Tarcza słoneczna, która z wolna znikła poza horyzontem morza, świeciła zielonymi promieniami w przestrzeni nieba czysta jak lza. Ale w tym właśnie momencie myśl miss Campbell była gdzie indziej i tym sposobem utraciła sposobność ujżenia zjawiska, które zapewne nie tak prędko zdarzy się jej widzieć.

— Jaka szkoda — szepnęła, ale mówiła to bez wielkiego żalu, przypomniawszy sobie to, co niedawno zaszło.

Tymczasem Glengarry czynił manewry, aby wydobyć się z odmętów Corryvreckan i skierować się na drogę ku północy. W tej chwili stary marynarz, uściśkawszy rękę młodego towarzysza, powrócił do szalupy i rozwinął żagle ku wyspie Jura.

Co się tyczy młodzieńca, ten usiadł na burcie okrętu i powiększył liczbę turystów Glengarry, żeglującego ku Oban.

Statek, pozostawiając po prawej wyspy Shuna i Luing, gdzie się znajdowały bogate cegielnie markiza Breadalbana, przesunął się koło wyspy Seil, broniącej tej części Szkocji, wszedł wkrótce do zatoki Frith of Lorn, popłynął między wulkaniczną wyspą Kerrera i granicą i nareszcie dobrym już zmrokiem zarzucił kotwicę w porcie Oban.

VII. ARYSTOBUL URSICLOS

Choć plaże Oban przyciągnęły do siebie równie wielką liczbę gości, co Brighton, Margate i Ramsgate, to Arystobul Ursiclos, osoba tak ważna, nie mógłby tu pozostać niepostrzeżony.

Oban, które wprawdzie nie dorównuje swym rywalom, jest jednak miejscem kąpielowym często odwiedzanym przez gości ze wszystkich stron Zjednoczonego Królestwa. Jego lokalizacja w cieśninie Mull, osłonięta od wiatrów zachodnich, których bezpośredni przepływ powstrzymuje wyspa Kerrera, przywabia znakomitą liczbę cudzoziemców. Jedni przybywają tu po to, aby kąpać się w zbawiennych wodach, drudzy zatrzymują się tu, ponieważ Oban stanowi punkt, w którym krzyżują się drogi wycieczek do Glasgow, Inverness i do najciekawszych wysp hebrydzkich. Trzeba jeszcze dodać, że Oban nie jest, jak inne miejscowości kuracyjne, rodzajem dziedzińca szpitalnego. Większość przyjeżdżających tutaj podczas letnich upałów to ludzie zupełnie zdrowi i nie narażają się, jak w innych miejscowościach kąpielowych, na granie w wista „z dwoma chorymi i jednym umarłym”!

Oban liczy sobie zaledwie sto pięćdziesiąt lat istnienia. Oddaje też do dyspozycji turystów swe place, wnętrza swych domów, przestrzeń swoich ulic i schronienia urządzone w modny sposób. Przedstawia się tu wszystko malowniczo: i kościół zbudowany w dawnym stylu normandzkim, z przepyszną nad nim wieżą, i starożytny zamek Dumolly, otoczony dokoła pnącymi się roślinami, i masy skał na północnym stoku, i panorama siedlisk ludzkich, i wille różnobarwne mieszczące się na drugim planie, i spokojne wody portu, po których przesuwają się prześliczne jachty przeznaczone do wycieczek dla przyjemności.

W tym roku w sierpniu cudzoziemcy, turyści i kąpielowicze zgromadzili się w Oban w wielkim komplecie. Na liście jednego z najpierwszych hoteli już od kilku tygodni pomiędzy najznakomitszymi nazwiskami można było wyczytać i nazwisko pana Arystobula Ursiclosa, przybyłego z Dumfries w Szkocji.

Była to osobistość w wieku dwudziestu ośmiu lat. Człowiek ten, zdaje się, nigdy nie był młody, ale też i prawdopodobnie nie będzie też nigdy stary. Najwidoczniej zrodził się w takim wieku, na jaki miał wyglądać przez całe życie. Z powierzchowności nie wyglądał ani źle, ani dobrze; z twarzy dość przeciętny, jasny blondyn, nosił okulary z powodu krótkiego wzroku; przy tym miał mały nos, który zdawał się nie być nosem jego twarzy. Z trzystu tysięcy włosów, jaką to ilość wedle ostatnich badań naukowych powinna posiadać każda głowa, nie pozostało mu więcej niż sześćdziesiąt tysięcy. Mocny zarost ocieniał podbródek i policzki, co nadawało jego twarzy podobieństwo do małpy. I rzeczywiście gdyby był małpą, byłby małpą w najlepszym gatunku, boć bywają i małpoludy, jako przejściowe indywidua w łańcuchu stworzeń utworzonym przez darwinistów w celu połączenia królestwa zwierzęcego z człowiekiem.

Arystobul Ursiclos obfitował nie tylko w pieniądze, ale i w bogactwo myśli. Znadto wykształcony jak na młodego uczonego, nie wiedział, w jaki sposób naprzykrzać się swoją mądrością, przy tym dyplomowany przez uniwersytety w Oksfordzie i w Edynburgu, posiadał więcej wiadomości dotyczących fizyki, chemii, astronomii i matematyki niż literatury. W gruncie rzeczy nadzwyczaj zarozumiały, nie wdawał się w nic takiego, co by podawało powód do zwątpienia o jego erudycji, a tym mniej do nadania mu tytułu głupca. Jego główną manią, a raczej monomanią było rozprawiać o wszystkim tym, co było naturalne, stanowiło to rodzaj niezbyt przyjemnego pedantyzmu. Nie śmiano się z niego, bo i on nie śmiał się także, ale wyśmiewano go, bo był śmieszny. W pełni stosowała się do niego formułka używana przez wolnych mularzy: „Słuchaj, patrz, milcz”. On czynił jeszcze więcej, bo nie słuchał wcale, nie widział i nie milczał nigdy. Jednym słowem, zapożyczając porównania, jak to bywa w zwyczaju w kraju Waltera Scotta, z jego dzieł, Arystobul Ursiclos ze swymi usposobieniami podobny był w zupełności do sędziego Nicola Jarvie’ego, a jeszcze bardziej do poetycznego kuzyna Rob Roya, MacGregora.

Któraż z córek Highlands, nie wyłączając nawet miss Campbel, nie wybrałaby Rob Roya zamiast Nicola Jarvie’ego?

Taki był Arystobul Ursiclos. Jakim sposobem bracia Melvill zawarli związek z tym pedantem, pragnąc go uczynić członkiem swojej rodziny? Jakim sposobem okazał się

godny szacunku tych starców sześćdziesięcioletnich? Być może z tej przyczyny, że on jeden z pierwszych objawiał zamiary matrymonialne względem ich wychowawcy. Z pewną radością, w zachwycie naiwnym bracia Sam i Sib zapewne wykrzyknęli:

— Oto młodzieniec bogaty, z pięknej rodziny, swobodnie rozporządzający majątkiem spadłym na niego ze strony rodziców i dalszych krewnych, a co najważniejsze, wysoko wykształcony! Będzie to wyborna partia dla naszej drogiej Heleny. Małżeństwo dopełni się bez przeszkód i będzie bardzo odpowiednie.

Po czym zażyli tabaki ze wspólnej tabakierki, zamknęli ją z lekkim trzaskiem, zatarli ręce, mówiąc sami do siebie:

— Sprawa załatwiona zupełnie!

Bracia nawet spoglądali na siebie domyślnie z uśmiechem, gdy na żądanie ujrzenia zielonego promienia sprowadzili miss Campbell do Oban. Tutaj więc bez poprzedniego przygotowania, bez jakiegokolwiek podstępu, zawiąza się na nowo stosunki z panem Ursiclosem, przerwane z powodu jego wyjazdu.

Bracia Melvill i miss Campbell zajęli najpiękniejsze apartamenty w hotelu Caledonia zamiast dawniejszych w Hellensburgh. Jeżeli pobyt ich przedłuży się w Oban, to trzeba będzie wynająć jakąś willę w górnej części miasta, do tego jednak momentu przy pomocy pani Bess i Partridge'a urządzili się jak mogli najwygodniej — w gmachu należącym do pana MacFyne. Później się zobaczy, jak to będzie dalej.

Nazajutrz po przybyciu bracia Melvill o godzinie dziewiątej rano wyszli z przedsiionka hotelu Caledonia, położonego prawie na wprost portu i śluzę otoczonej dokoła wspaniałymi drzewami. Miss Campbell jeszcze spoczywała w swym pokoju na pierwszym piętrze, nie domyślając się wcale, że jej wujowie udali się z odwiedzinami do pana Arystobula Ursiclosa.

Obaj „niewidzialni” zeszli na taras i przekonani, że ich protegowany mieszka w jednym z hoteli znajdujących się na północnej stronie zatoki, udali się w tym kierunku.

Trzeba dodać, że wiodło ich po części przecucie. Rzeczywiście, w dziesięć minut po ich odejściu Arystobul Ursiclos, który codziennie odbywał wycieczki naukowe na plaży, spotkał obu braci i wymieniwszy z nimi uścisk ręki, zdawał się być wielce uradowany.

— Pan Ursiclos! — zawołali bracia Melvill.

— Panowie Melvill — odpowiedział Arystobul tonem dobrze udanego zdziwienia. — Panowie tutaj? W Oban?

— Od wczorajszego wieczoru — rzekł brat Sam.

— I jesteśmy uszczęśliwieni, panie Ursiclos, że znajdujemy pana w pełnym zdrowiu — dodał brat Sib.

— O, w doskonałym, panowie... Zapewne znacie treść depezy, która nadeszła?

— Depeszy? — rzekł brat Sam. — Czy może zawiadamia o przybyciu ministra Gladstone'a?

— Nie chodzi tu wcale o ministra Gladstone — odpowiedział dość pogardliwie Arystobul Ursiclos — lecz jest mowa o depezy meteorologicznej.

— Tak? — odpowiedzieli obaj wujowie.

— Tak jest. Zapowiadają, że niż znad Swinemunde postępuje dość wyraźnie ku północy. Jego główny prąd obecnie znajduje się blisko Sztokholmu, gdzie barometr opadł na jeden cal, czyli o dwadzieścia pięć milimetrów, by użyć stosowanego wśród uczonych systemu dziesiętnego, i wskazuje dwadzieścia osiem cali i sześć dziesiątych czyli siedemset dwadzieścia sześć milimetrów. Jeżeli ciśnienie to różni się cokolwiek między Anglią i Szkocją, to tym bardziej przy Walencji, gdzie barometr obniżył się wczoraj o jedną dziesiątą, a przy Stornoway o dwie dziesiąte.

— Cóż zatem ten niż? — spytał brat Sam.

— Jaka konkluzja? — dodał brat Sib.

— Że się długo nie utrzyma piękna pogoda — odpowiedział Arystobul Ursiclos — i że niebo zmieni wkrótce wiatr na południowo-zachodni, przynosząc nam wzywiey z północnego Atlantyku.

Bracia Melvill podziękowali młodemu uczoneму, że im pozwolił dowiedzieć się o tak wyraźnej prognozie i skonkludowali, że tym sposobem trzeba będzie jakiś czas poczekać na pojawienie się zielonego promienia, o co się wcale nie gniewali, gdyż ich pobyt w Oban się przedłuży.

— A panowie przybyliście w jakim celu? — zapytał, zbierając krzemienie i przyglądając się im bardzo uważnie.

Obaj bracia byli niezmiernie zmieszani tym zachowaniem się uczonego.

Kiedy jednak kolekcja krzemieni coraz bardziej powiększała się, tak że już wypełniły kieszenie pana Ursiclosa, odezwali się:

— Przybyliśmy w bardzo naturalnym celu zabawienia przez niejaki czas — rzekł brat Sib.

— I dodamy, iż towarzyszy nam także i miss Campbell.

— Ach, miss Campbell! — odparł Arystobul Ursiclos. — Zdaje mi się, że ten krzemień sięga epoki gaelickiej. Znajdują się ślady... Doprawdy jestem zachwycony, że ujrzę miss Campbell... ślady meteorytowego żelaza... klimat ten nadzwyczaj łagodny, będzie dla niej bardzo odpowiedni.

— Zdrowa jak ryba — zrobił uwagę brat Sam — i nie potrzebuje wcale pokrzepiać zdrowia.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział Arystobul. — Tutaj powietrze wyborne. Zero dwadzieścia jeden tlenu i zero siedemdziesiąt dziewięć azotu z niewielką przymieszką pary wodnej, w zupełności odpowiadającej wymaganiom higieny. Co się tyczy kwasu węglowego, zaledwie mały ślad tylko. Robiłem analizę przez całe rano.

Bracia Melvill chcieliby, żeby bardziej zajmowała go obecność miss Campbell.

— Lecz — mówił Arystobul — jeżeli nie przybyliście panowie do Oban z powodu zdrowia, czy mogę się zapytać, dlaczego opuściliście wasz dom w Helensburgh.

— Nie mamy potrzeby ukrywać przed panem i określimy położenie, w jakim się znajdujemy — odpowiedział brat Sib.

— Mamże w tej zmianie miejsca pobytu — rzekł młody uczoney — widzieć życzenie, zresztą bardzo naturalne, spotkania się ze mną miss Campbell, porozumienia się i poznania wzajemnego, to jest uszanowania się i pozyskania zobopólnego szacunku?

— Bez wątpienia — odpowiedział brat Sam. — Myśleliśmy, że w ten sposób cel prędzej będzie osiągnięty.

— Zgadzam się panowie — rzekł Arystobul. — Tutaj, na gruncie neutralnym, możemy przy sposobności rozmawiać o fluktuacjach morza, o kierunkach wiatrów, o wysokości piętrzących się bałwanów, o innych fenomenach fizycznych, co nadzwyczaj powinno zaciekawić.

Bracia Melvill, porozumiewszy się ze sobą uśmiechem, skinęli głową na znak potwierdzenia, dodając, że po powrocie do domu w Helensburgh, będą bardzo szczęśliwi, gdy przyjmą milego gościa z tytułem bardziej stanowczym.

Arystobul Ursiclos oświadczył, iż jest zachwycony tym, iż rząd postanowił w tej chwili dokonać projektu uregulowania Clyde, są to bowiem prace, które rozpoczną się wedle nowego systemu, za pomocą maszyny elektrycznej... Wówczas, zamieszkawszy stale w domu, bez straty czasu będzie mógł je badać i obliczać pożytki z nich płynące.

Bracia Melvill nie posiadali się z radości. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności prace sprzyjały ich projektom. W godzinach wolnych od zajęć w domu młody uczoney będzie mógł odbywać potrzebne mu studia.

— Ależ — zapytał Arystobul — musieliście panowie wynaleźć jakiś pretekst przybycia tutaj, ponieważ miss Campbell nie miała pewno zamiaru spotkania się tu ze mną w Oban.

— Rzeczywiście, a tego pretekstu dostarczyła nam sama miss Campbell.

— Tak, i jakież to?

— Polega on na badaniu fizycznym w pewnych warunkach, jakich nie ma w Helensburgh.

— Doprawdy? — zawołał Arystobul, poprawiając palcami okulary. — Z tego wnoszę, że pomiędzy mną a miss Campbell istnieje już jakieś powinowactwo sympatyczne. Czy mogę wiedzieć, jakie to mianowicie zjawisko nie może być tam zbadane?

— Fenomenem tym jest po prostu zielony promień — powiedział brat Sam.

— Zielony promień? — rzekł Arystobul nadzwyczaj zdziwiony. — Nigdy o tym nie słyszałem. Czy mógłbym ośmielić się zapytać panów, co to jest ten zielony promień?

Bracia Melvill wytłumaczyli mu jak umieli, czym jest ten fenomen, na który niedawno „Morning Post” zwrócił uwagę swoich czytelników.

— Ba! — rzekł Arystobul — to zwykła ciekawostka, nie przedstawiająca zbyt wielkiego interesu, wchodzi nawet w zakres fizyki, ale dziecięcej.

— Miss Campbell jest także młodą dziewczyną — odpowiedział Sib — i przywiązuje do tego fenomenu wielką wagę, przesadza bez wątpienia...

— Nie chce nawet iść za mąż, jak sama mówiła, dopóty, dopóki nie ujrzy zielonego promienia.

— Bardzo dobrze, panowie — odpowiedział Ursiclos — ukażemy jej zielony promień.

Po czym po ścieżce wijącej się przez piękne trawniki wszyscy trzej skierowali się do hotelu Caledonia.

Arystobul Ursiclos nie tracił chwili nadaremnie, starając się wystawić braciom Melvill, o ile umysł kobiety skłonny jest do wybryków i rozwinął bardzo szeroko program, w jaki sposób należy uzupełnić jej wychowanie; zaprzeczając w ogóle, aby poziom umysłu kobiety mógł się równać z poziomem umysłu mężczyzny, że jednym słowem, kobieta nie jest zdolna zająć się wysokimi i podniosłymi zadaniami filozofii. Lecz nie sięgając tak daleko, może ją przekształcić nadając wyjątkowy, specjalny kierunek, chociaż od czasu istnienia na ziemi kobiety, żadna z nich nie odznaczyła się tak znakomitymi odkryciami jak Arystoteles, Euklides, Hervey, Hanenhman, Pascal, Newton, Laplace, Arago, Humphrey Dawid, Edison, Pasteur i tak dalej. Potem rzucił się do określenia różnych zjawisk fizycznych i rozmawiał *de omni re scibili*¹², nie wspomniawszy ani na chwilę o miss Campbell.

Bracia Melvill słuchali z wielkim poszanowaniem i przymusowo, ponieważ Ursiclos, przerywając swój monolog jedynie przekonującymi „hum!”, „hę!”, nie dozwalał cokolwiek wtrącić i zamykał po prostu usta braciom.

Przybyli, w ten sposób rozmawiając, aż do hotelu Caledonia i wreszcie zatrzymali się przed nim na jakie sto kroków, aby się wzajemnie pożegnać.

Jakaś młoda osoba w tej chwili stała w oknie swego pokoju. Zdawała się być mocno zajęta, nawet zakłopotana nadzwyczajnie. Spoglądała to przed siebie, to poza siebie, na prawo i lewo, badając horyzont, jakby pragnęła coś na nim ujrzeć.

Nagle miss Campbell, była to bowiem ona, dostrzegła swych wujów. Natychmiast z żywością zamknęła okno i w kilka chwil później zeszła aż na aleję żwirową, z rękami skrzyżowanymi, w postawie surowej, z czołem, na którym, zdawało się, gromadziły się gromy i wyrzuty.

Bracia Melvill spojrzeli po sobie. Co się stało Helenie? Czy to obecność Arystobula Ursiclosa spowodowała na jej czoło takie symptomy gniewu?

Tymczasem młody uczonec posunął się naprzód i pozdrowił jakby mechanicznie miss Campbell.

— Pan Arystobul Ursiclos — rzekł brat Sam, prezentując ceremonialnie przybyłego.

— Który przypadkiem znalazł się... tutaj właśnie, jakby naumyślnie w Oban... — dodał brat Sib.

— A, pan Ursiclos?

I miss Campbell zaledwie poruszyła głowę.

Potem odwracając się do braci Melvill zmieszana i nie wiedząc, jak się pohamować:

— Moi wujowie! — rzekła surowo.

— Droga Heleno — odpowiedzieli obaj wujowie, z tym samym zakłopotaniem w głosie.

— Wszak jesteśmy w Oban? — zapytała.

— W Oban, nie ulega wątpliwości.

— Na Morzu Hebrydzkim?

— Tak jest.

— A więc za godzinę nie będziemy już tutaj.

— Za godzinę?

— Pragnęłam widzieć horyzont morski.

— Zapewne...

— Proszę mi go ukazać!

Bracia Melvill przerażeni odwrócili się.

¹²*de omni re scibili* (łac.) — o wszystkich rzeczach, które można poznawać. [przypis edytorski]

Na wprost, na południowy zachód, jak również na północny zachód nie było pomiędzy wyspami wybrzeża najmniejszej przerwy, gdzie niebo łączyłoby się z morzem. Seil, Kerrera i Kismore stanowiły jakby ciągłą przegrodę na całej długości. Trzeba było przyznać, że w Oban nie było pożądanego i obiecanego horyzontu.

Dwaj bracia również w czasie spaceru wzdłuż plaży zupełnie tego nie zauważyli. W tak dziwnie kłopotliwym położeniu, nie wiedząc, jak się tłumaczyć i co powiedzieć, zawołali jak prawdziwi Szkoci:

— Pooh!

— Pswaha!

VIII. CHMURA NA HORYZONCIE

Wyjaśnienie i tłumaczenie się było zatem konieczne; a ponieważ w tym objaśnieniu pan Arystobul Ursiclos nie potrzebował przyjmować żadnego udziału, przeto miss Campbell pożegnała go chłodnym ukłonem i zwróciła się ku hotelowi Caledonia.

Arystobul Ursiclos niemniej chłodnym skinieniem głowy odpowiedział na pożegnanie. Najwyraźniej rozgniewany tym, że jego osoba porównana została z zielonym promieniem, skierował się ku plaży, ciągle rozmawiając ze sobą nadzwyczaj wyszukanymi słowami.

Bracia Sam i Sib nie czuli się jakoś dość odważni wobec wypadku, którego skutków wkrótce zapewne doświadczą. Jakoż wszedłszy nareszcie do salonu z miną pokorną i, jak to mówią, z uszami po sobie, czekali, aż się miss Campbell raczy do nich odezwać.

Wyjaśnienie było krótkie, ale energiczne. Przyjechano do Oban w tym celu, aby mieć przed swymi oczami horyzont morski, a tymczasem zgoła nie można było go ujrzeć, więc i mówić o tym nie warto.

Dwaj bracia na usprawiedliwienie przytoczyli tylko to, że postępowali w dobrej wierze. Nie znali zupełnie Oban, któż mógł przypuścić, że otwartego morza tu nie ma, skoro jest tak popularnym kąpieliskiem morskim. Być może, że to jedyne miejsce, w którym z powodu rozrzucenia na wszystkie strony Wysp Hebrydzkich linia morza nie styka się z niebem.

— Bardzo dobrze — odpowiedziała miss Campbell tonem, któremu chciała nadać powagę i surowość — potrzeba wynaleźć inny punkt, nie w Oban, gdziekolwiek bądź, nawet gdyby trzeba było poświęcić spotkanie się z panem Arystobulem Ursiclosem!

Bracia Melvill instynktownie opuścili głowy i nie odpowiedzieli wcale.

— Proszę przygotować się do podróży — rzekła miss Campbell — ponieważ dziś jeszcze wyjeżdżamy.

— Wyjeżdżajmy — odezwali się bracia, nie mogąc inaczej wyjść z kłopotliwego położenia, jak tylko zgadzając się na wszystko z pokorą.

I wnet też rozległo się donośne wołanie:

— Bet!

— Beth!

— Bess!

— Betsey!

— Betty!

Pani Bess przybyła w towarzystwie Partridge'a. Oboje natychmiast zostali uprzedzeni o wyjeździe, a wiedząc, że ich młoda pani we wszystkim miała słuszność, nie pytali się zgoła o przyczynę tak nagłej podróży, o powód tak nieoczekiwanego odjazdu.

Planowano, zapominając zupełnie o panu MacFyne, właścicielu hotelu Caledonia.

Nie wiedzieli wcale, jacy są owi szacowni przedsiębiorcy, nawet w tak gościnnym kraju jak Szkocja, skoro przypuszczali, że pan MacFyne zgodzi się łatwo puścić tak znakomitą rodzinę, składającą się z trzech państwa i dwojga domowników, nie starając się zatrzymać ich jak najdłużej.

Jak więc tylko postanowienie to rozeszło się po hotelu, pan MacFyne oświadczył najwyraźniej, że całą tę sprawę załatwi ku ogólnemu zadowoleniu, bo nie podobna, aby ci państwo odjechali i żeby nie miał sposobu zatrzymania wszystkich. Otóż cóż się tedy dalej stało?

Czego żądała miss Campbell i co, ma się rozumieć, chcieli wykonać panowie Sam i Sib Melvill? Widzieć otwarte morze na szerokim horyzoncie? Nic łatwiejszego, ponieważ chcą tylko widzieć je przy zachodzie słońca. Nie można go zobaczyć z brzegów Oban? Dobrze. A czy nie było lepiej na Kerrerze? Nie. Z wielkiej wyspy Mull widać niewielką część Atlantyku na południowym zachodnie. Schodząc jednak w dół wybrzeża, mamy wyspę Seil, której północna część połączona jest mostem z brzegami Szkocji. Tutaj nic zgoła nie zaćmiewa widoku.

Udać się zaś tam można prawie spacerem, jest zaledwie cztery lub pięć mil, wcale nie więcej, a skoro czas pogodny, wygodny powóz i dwa dobre konie mogą za półtorej godziny przewieźć miss Campbell i jej orszak.

Na poparcie swego twierdzenia wymowny właściciel hotelu pokazał to wszystko na mapie zawieszanej w przedsieniu hotelu. Miss Campbell mogła tedy wierzyć temu, że MacFyne wcale nie chciał jej obalamować. Rzeczywiście naprzeciw wyspy Seil znajdował się znaczny obszar, obejmujący prawie trzecią część horyzontu, na którym słońce przesuwało się w ciągu kilku tygodni przed i po zrównaniu dnia z nocą.

Sprawa zatem została ustalona ku wielkiej radości właściciela MacFyne i zadowoleniu obu braci Melvill. Miss Campbell udzieliła im przebaczenia, nie czyniąc najmniejszej aluzji do obecności Arystobuła Ursiclosa.

— Jednak — rzekł brat Sam — to szczególnie, że naprawdę w Oban brak horyzontu morza.

— Natura jest dziwna i kapryśna — odparł brat Sib.

Arystobul Ursiclos był niezawodnie bardzo kontent, dowiadując się, że miss Campbell nie pojedzie szukać gdzie indziej dla siebie punktu obserwacyjnego, ale tak był zajęty rozwiązaniem ważnego zadania, że nie miał czasu okazać swego zadowolenia.

Kapryśna młoda dziewczyna była mu przypuszczalnie bardzo wdzięczna za to zachowanie, bo jakkolwiek pozostała dla niego zupełnie obojętna, to przyjęła go zupełnie inaczej niż poprzednio. Tymczasem stan powietrza nieco się odmienił. Choć pogoda pozostała piękna, to kilka chmur, które zmniejszały upał południa, zaciemniało horyzont przy wschodzie i zachodzie słońca. W takim razie należało zachować cierpliwość, nie było sensu nadaremnie szukać punktu obserwacyjnego na wyspie Seil. Nadaremny trud, trzeba czekać.

W ciągu tych dni miss Campbell, pozostawiwszy wujów w towarzystwie upatrzonego dla niej przyszłego męża, chodziła wraz z panią Bess, a czasami sama jedna błąkała się po plaży, unikała wszelkich zgromadzeń i nie zbliżała się wcale do grona osób przybyłych na kurację. Wszędzie było pełno tych gości, całe rodziny beczynn timer spędzały dni na plaży, młode dziewczęta i chłopcy tarzali się w wilgotnym piasku z prawdziwie angielską zimną krwią; poważni, flegmatyczni panowie, ubrani w kostiumy kąpielowe, często bardzo proste i pospolite, przychodzili tu i oddawali się ważnemu zajęciu, to jest zanurzeniu się przez sześć minut w słonej wodzie; inni znowu goście, tak mężczyźni, jak kobiety, z całą majestatycznością zasiadali na ławkach wyścielanych i wybitych czerwoną materią, przerculali niedbale kartki książek, gazet lub albumów; niektórzy przechodni turyści, z lunetą na pasku, w podobnym do kasku kapeluszu na głowie, w długich kamaszach, z parasolami pod pachą, spacerowali, korzystając z pogody, przybyli bowiem wczoraj, a dziś odjeżdżają; wreszcie między tym tłumem znajdowali się i sprzedawcy, których interes był koczowniczy i przenośny, należeli do nich tak zwani „elektrycy”, sprzedający prądy elektryczne po dwa pensy tym, którzy znajdowali dziwne upodobanie w wybrykach własnych fantazji; dalej artyści z pianolą na kołach, wygrywający rozmaite melodie przekształcone z piosnek francuskich; fotografowie, na wolnym powietrzu dający dowody swego talentu w robieniu na poczekaniu fotografii rozmaitych grup; kramarze w czarnych surdutach, w kapeluszach ustrojonych w kwiaty, popychający przed sobą małe wózki, na których rozłożone były rozmaite najpiękniejsze, jakie tylko są w świecie owoce; na koniec „minstrele” z twarzą wykrzywioną i przekształconą malaturą z szuwaksu, przedstawiający rozmaite sceny dość zrecznie trawestowane, wyśpiewujący samorodne kuplety pośród grona dzieci, które jak to zwykle się dzieje, akompaniowały im chórem.

Dla miss Campbell to życie miast nadbrzeżnych nie było tajemnicą ani też nie stanowiło najmniejszego powabu. Wołała uniknąć tych grup, obcych dla siebie, napływających z czterech części świata.

Często też wujowie, strwożeni jej nieobecnością, zmuszeni byli jej poszukiwać i znajdowali zwykle gdzieś na końcu plaży.

Tu miss Campbell siadywała jak rozmarzona Minna z *Korsarza*, z łokciem wspartym na skale, z głową opartą na ręce, drugą ręką przebierając w ziołach rosnących między złomami kamieni.

Jej błędne spojrzenie wędrowało od *stacku*, którego skalisty szczyt wyrastał w górę, do jakiejś ciemnej jaskini, jednej z tych *helyers*, jak nazywają je w Szkocji, huczącej falami morza.

W dali widać było szeregi kormoranów, stojących w postawach nieporuszonych, ścigała je okiem, aż nagle jakiś wypadek przerażał stado i majestatyczne stworzenia unosili się w powietrzu na ogromnych swych skrzydłach.

O czym myślało młode dziewczę? Arystobul Ursiclos byłby odpowiedział zarozumiale, że to o nim, nawet wujowie to samo by potwierdzili, a jednak wszyscy zawiedliby się w tym najhaniaebniej.

W swych wspomnieniach miss Campbell przywołała sobie na pamięć sceny z Corryvreckan. Widziała szalupę zagrożoną niebezpieczeństwem zatonięcia, manewry Glengarry, wirującego pośród rozszalałego żywiołu. W głębi swego serca odczuwała jeszcze ból, jaki ją przejął, gdy widziała, jak nieroztropni żeglarze zniknęli pośród spienionych fal. Potem przypomniała sobie, jak zarzucono linę ratunkową, jak elegancki młodzieniec pokazał się na pokładzie, spokojny, uśmiechający się, mniej niż ona wzruszony i pozdrawiający zebranych na statku pasażerów.

Dla głowy romansowej była to już prawie powieść, ale zdawało się, że rozgrywał się dopiero jej pierwszy rozdział. Książka tylko co rozpoczęta, nagle zamknęła się w rękach miss Campbell. W jakim miejscu miałyby ją znowu otworzyć, skoro jej bohater, podobny do jakiegoś Wodana z epepei gaelickiej, nie pokazał się powtórnie?

Czyż należało go szukać w tej gromadzie gości zaludniających Oban? Być może. Czy się z nią spotkał kiedyś? Dotąd prawdopodobnie nie. Dlaczego na pokładzie Glengarry obudził jej uwagę? Dlaczego miałby pojawiać się? Przecież nie domyślał się, że to jej winien swoje wybawienie? A przecież to ona pierwsza dostrzegła niebezpieczeństwo grożące szalupie, ona pierwsza uprosiła kapitana, aby pospieszył na ratunek. I w istocie, tego wieczoru poniosła ofiarę, być może pozbawiając się możliwości zobaczenia zielonego promienia, czego się obawiała.

W ciągu trzech dni pobytu rodziny Melvill w Oban niebo doprowadzało do rozpacz astronomów z Edynburga i Greenwich. Było jakby podwatowane mgłą wyziewów dziwnej natury, jaką nie odznaczają się nigdy chmury. Najsilniejsze lunety i teleskopy, nawet zwierciadlany teleskop z Cambridge, ani z Parsontown, nie zdołały ich przeniknąć. Jedynie promienie słoneczne posiadały tę siłę; ale przy zachodzie słońca horyzont morski otaczała lekka mgiełka barwiona cudnymi kolorami, przez którą niepodobna, by zielony promień przebłysnął do oczu widza.

W swych marzeniach Miss Campbell, uniesiona wzburzoną imaginacją, nieco fantastyczną, połączyła wypadki odmetu Corryvreckan z zielonym promieniem. Co jest pewne, że ani jedno, ani drugi nie powtórzyły się. Pierwsze okrywała tajemniczość, drugi — wyziewy wodne.

Bracia Melvill, doradzając jej cierpliwość, wybrali się bardzo niewłaściwie. Miss Campbell nie wahała się uczynić ich odpowiedzialnymi za zamieszania w atmosferze. Oni też z pewnym oburzeniem badali barometr przywieziony z Helensburgh, którego wskazówka wcale się nie posuwała. Byliby zaofiarowali własną tabakierkę, byle niebo pozbyło się chmur.

Co zaś do uczonego Ursiclosa, to pewnego dnia z powodu zachmurzonego nieba śmiał wypowiedzieć zdanie, iż to było bardzo naturalne. Nawet o mało co w obecności miss Campbell nie rozpoczął lekcji fizyki. Mówił o chmurach w ogólności, o ich ruchu mającym związek z obniżeniem się temperatury, o obłokach przeradzających się w wydęcia, o ich naukowym podziale na nimbus, stratus, cumulus, cirrus! Nie potrzeba dodawać, że to był świeży jego nabytek naukowy.

Tak się zapałił, że bracia Melvill nie wiedzieli, jak się zachować wobec tej rozprawy.

Ale miss Campbell rezolutnie przerwała tę chwałbę samego siebie, odwróciła się w przeciwną stronę, żeby nie słyszeć, potem nagle spojrzała na szczyty zamku Dunollie

i poczęła oglądać końce swych trzewików, co było jawną oznaką zupełnego lekceważenia dla mówiącego.

Arystobul Ursiclos, który nie słuchał i nie widział, tylko siebie, który mówił zawsze tylko dla siebie, nie zwrócił uwagi na tak wyraźną oznakę niechęci.

Tak minął 3, 4, 5 i 6 sierpnia. Podczas tego na wielką pociechę braci Melvill wskazówka barometru poruszyła się cokolwiek w stronę „odmiana”.

Dzień zapowiadał się pod szczęśliwą wróżbą. O godzinie dziesiątej rano słońce jaśniało w całym blasku, a niebo było czyste, bez chmury.

Miss Campbell nie chciała opuścić tak przyjaznej pory. Powóz w hotelu Caledonia zawsze był do dyspozycji gości. Należało korzystać.

Otóż o godzinie piątej po południu miss Campbell i bracia Melvill zajęli miejsce w powozie kierowanym przez forysia wprawnego do jazdy czterema końmi. Partridge siadł z tyłu i czwórka popędziła galopem po drodze z Oban do Clachan.

Arystobul Ursiclos, na nieszczęście zajęty będąc jakimś ważnym pamiętnikiem naukowym, nie przyjął udziału w wyprawie.

Wycieczka była uroczą. Powóz toczył się wzdłuż brzegu, po drodze oddzielającej Kerrerę od Szkocji. Wyspa ta, z natury wulkaniczna, była nadzwyczaj malownicza, ale nie podobała się miss Campbell, gdyż zasłaniała horyzont morza. Ponieważ zaś do przebycia mieli tylko cztery i pół mili, chętnie przyglądała się jej zarysowi na tle nieba i ruinom zamku zdobiącego jej szczyty od południa.

— Była to niegdyś siedziba MacDougallów z Lorn — odezwał się brat Sam.

— A dla naszej rodziny — dodał Sib — zamek ten ma znaczenie historyczne, ponieważ Campbellowie go zburzyli, spalili i wycięli w pień mieszkańców.

Partridge w zapale przyklasnął czynowi swych panów.

Kiedy minęli Kerrerę, powóz wjechał na wąską drożynę, prowadzącą do wioseczki Clachan. Tu wąski przesmyk łączy wyspę Seil ze stałym lądem. W pół godziny później nasi podróżnicy, pozostawiając powóz w wąwozie, oddalili się na pagórek i zasiedli na szczycie niewielkiej skały.

Tym razem nic nie zasłaniało widoku naszym turystom zwróconym ku zachodowi, ani wyspa Easdale, ani Inisch znajdująca się blisko wyspy Seil. Pomiędzy Ardanalish na wyspie Mull, jedną z największych wśród Hebrydów, na północnym zachodzie, a wyspą Colonsay, na wschodzie, wylaniała się wielka przestrzeń morza, nad którą zniżała się wielka tarcza słońca.

Miss Campbell, ciągle pogrążona w myślach, siedziała cokolwiek na przodzie. Kilka ptaków drapieżnych, a między nimi orły i sokoły, zamilowane w samotności, unosiło się nad *dens*, pewnego rodzaju dolinami wydrążonymi w parowach skał.

Astronomicznie słońce w tej części roku i pod tą szerokością powinno było zachodzić o godzinie siódmej minut pięćdziesiąt cztery, dokładnie w kierunku przyładka Ardanalish.

Lecz po upływie dwóch tygodni nie podobna będzie widzieć je znikające za linią morza, ponieważ bryła wyspy Colonsay zakryje je przed wzrokiem.

Tego wieczoru zatem pora do obserwacji była wyborna.

Właśnie w tej chwili słońce skierowało promienie ku lustrzanej powierzchni morza.

Z trudnością można było przypatrywać się jego tarczy zalanej jaskrawoczerwonym światłem.

Mimo to ani miss Campbell, ani wujowie Melvill nie zmrużyli oczu ani na chwilę.

Kiedy jednak owa gwiazda świetlna zniżyła coraz bardziej swoją tarczę, miss Campbell wydała przeraźliwy okrzyk.

Pojawił się maluchny obłoczek, jakby lekkie muśnięcie, lekka plamka, długi jak porczyk okrętu wojennego. Przedzielił on tarczę słoneczną na dwie połowy i zdawał się posuwać aż do poziomu morza.

Zdawało się, że wietrzyk swym podmuchem rozgoni chmurę, ale podmuch nie nastąpił, a obłoczek pozostał na miejscu.

A kiedy nareszcie tarcza słoneczna zmniejszyła się do małego rąbka, obłoczek całkiem go otoczył.

Zielony promień, zagubiony w tej chmurce, nie mógł dotrzeć do oczu widzów.

IX. UWAGA PANI BESS

Powrót do Oban nastąpił wśród ogólnego milczenia. Miss Campbell nie odezwała się wcale; również bracia Melvill nie odważyli się wyrzec ani jednego słowa. Wszakże nie była ich wina, że właśnie w tak stanowczej chwili pojawił się ów ciemny obłoczek zasłaniający promienie słońca. Zresztą nie należało oddawać się rozpacz. Piękna pora lata mogła się jeszcze przedłużyć i trwać co najmniej sześć tygodni. Gdyby podczas trwania jesieni nie pojawiło się choćby kilka wieczorów bez chmury na niebie, byłoby to naprawdę pechowe.

W każdym razie już jeden wieczór stracono nadaremnie, a barometer nie zapowiadał wcale pogody. Rzeczywiście w nocy kapryśna wskazówka posunęła się ku stronie „odmiana”, a właściwie „pogoda niestała”.

Nazajutrz, 8 sierpnia, gorące wyziewy morskie nieco zaćmiły promienie słoneczne. Wiaterek południowy tym razem nie miał dość siły do rozpędzenia gromadzących się chmur. Wieczorem tarcza słoneczna zajaśniała purpurowym światłem. Słońce niby paleta malarza przeszło wszystkie odmiany barw, od żółtawej chromu aż do błękitnej lazuru. Pod zasłoną obłoczków słońce zachodziło we mgłę, barwiąc wybrzeże promieniami wszystkimi kolorów, oprócz tego, który kapryśna panna Campbell tak bardzo chciała zobaczyć.

To samo było na drugi dzień i na trzeci. Powóz nieustannie czekał w hotelu na gości. Po cóż daremnie się trudzić, gdy słońca prawie nie widać? Wzniesienia wyspy Seil stanowiły teren równie niesprzyjający obserwacjom jak i równina w Oban.

Nie zdradzając złego humoru, miss Campbell, skoro zbliżył się wieczór, powróciła do swego pokoju nadąsana na słońce. Wypoczywała po całodziennej wycieczce i marzyła. O czym? Czy o legendzie związanej z zielonym promieniem? Czy musi koniecznie go widzieć, aby tym jaśniej spojrzeć w głąb własnego serca? W głąb swego bynajmniej, ale w głąb innego serca.

Tego dnia pani Bess towarzyszyła miss Campbell do ruin Dunollie Castle. Z tego miejsca, u stóp starożytnych murów, po których wspiwały się bluszcze, wspaniale wyglądała panorama zatoki w Oban, cudownie zarysowywał się dziki krajobraz Kerrery, wyspy rozsiane po Morzu Hebrydzkim i wielka wyspa Mull, której zachodnie skały były jakby przedmurzem, o które obijały się pierwsze fale Atlantyku.

Miss Campbell patrzyła na to wszystko, ale czy jednak coś widziała? Czy przypadkiem jej uwagi nie skupiało jakieś wspomnienie? Można przecież śmiało twierdzić, że powodem roztargnienia miss Campbell nie była wcale osoba Arystobula Ursiclosa. Rzeczywiście niefortunnie znalazłby się młody pedant, przybywając w tej chwili, kiedy właśnie pani Bess dość śmiało wyrażała o nim swoje zdanie.

— Nie podoba mi się — mówiła. — Nie, nie podoba się się! Stara się podobać tylko sobie samemu. Jaką on zrobił minę w Helensburgh? Niezawodnie, jeżeli się nie mylę, należy do klubu MacEgoistów. Jak bracia Melvill mogli pomyśleć, że mógłby zostać ich siostrzeńcem? Partridge go także znieść nie może, a Partridge ma bystre spojrzenie. A pani, miss Campbell, jakże się on wydał?

— O kim mówisz? — pytała młoda dziewczyna, która wcale nie słyszała uwag pani Bess.

— O tym, o którym nie powinna pani myśleć, choćby tylko dla zachowania honoru klanu.

— O kimże to ja nie powinnam myśleć?

— Ależ o tym panu Arystobulu Ursiclosie, który dużo lepiej by uczynił, udając się na drugą stronę Tweed, bo zdaje mi się, że nigdy Campbell nie łączyli się z jakimiś Ursiclosami.

Pani Bess nie przebiegała zgoła w słowach, w tym razie przecież nie chciała być w sprzeczności z usposobieniem swej młodej pani... czyniła bowiem wszystko, co by tylko dla niej mogło być przyjemne i korzystne. Przeczuwała doskonale, że Helena dla tego jegomościa okazywała więcej niż zwykłą obojętność. Rzeczywiście zaś nie przypuszczała, że to uczucie obojętności mogło się jeszcze zdwoić, w porównaniu z inną osobą.

Jeszcze jednak miała w tym względzie pewne wątpliwości, gdy niespodzianie miss Campbell zapytała jej, czy nie widziała przypadkiem w Oban tego młodzieńca, któremu okręt Glengarry wyświadczył tak znakomitą usługę.

— Nie, miss Campbell — odpowiedziała pani Bess — miał natychmiast odjechać, ale podobno widział go Partridge.

— Kiedy?

— Wczoraj, na drodze do Dalmally. Powracał właśnie z workiem podróznym przez ramię, jak czynić zwykli artyści. O, ten młodzieniec nadzwyczaj lekkomyślnie sobie postąpił. Jeżeli puścił się na odmęty Corryvreckan, źle to wróży o jego przyszłości. Nie zawsze znajdzie okręt, który mu pospieszy z pomocą i niewątpliwie może ulec nieszczęściu.

— Tak myślisz? Jakkolwiek był to krok nierozsądny, ale okazał tyle odwagi, tyle zimnej krwi w chwili grożącego mu niebezpieczeństwa.

— Bardzo być może, ale jednak ten młodzieniec wcale nie wie, że swój ratunek zawdzięcza pani i że winien był nazajutrz po przybyciu do Oban złożyć uszanowanie wybaczenia.

— Podziękować mi? — odpowiedziała Campbell. — Dlaczego? Zrobiłam to nie tylko wyjątkowo dla niego, wszyscy na moim miejscu postąpiliby podobnie względem innych.

— A czybyś go pani poznała? — zapytała pani Bess, przypatrując się młodej dziewczynie.

— Doskonale — odparła prostodusznie miss Campbell — i wyznaję, że charakter tego człowieka, spokojna odwaga, jaką okazał, wstępując na pokład, czułe słowa i przyjacielskie odnośnienie się do starego marynarza niezmiernie pochwyciły mnie za serce.

— Doprawdy — zawołała zacna kobieta — nie wiem, do kogo on podobny, ale jestem pewna, że niepodobny wcale do pana Arystobuła Ursiclosa.

Miss Campbell uśmiechnęła się, nie odpowiadając, po czym powstała i długo przypatrywała się wzniesieniom na wyspie Mull, wreszcie w towarzystwie pani Bess zeszła na dół i wróciły ścieżką do Oban.

Tego wieczoru słońce zaszło jakby osłonięte piaszczystym, ziarnistym światłem i osłona tak lekka i delikatna jak mgła.

Miss Campbell powróciła tedy do hotelu, zjadła z apetytem obiad zamówiony przez braci Melvill i po krótkim spacerze po plaży udała się do swego pokoju.

X. PARTIA KROKIETA

Bracia Melvill, prawdę mówiąc, nie tylko liczyli dni, ale nawet i godziny. Nie szło im bowiem tak, jak chcieli. Wyraźne zdudzenie siostrzenicy, ta nieustanna potrzeba samotności, chłodne obejście się z panem Arystobulem Ursiclosem, który też równie niewiele się nią zajmował, wszystko to czyniło pobyt w Oban wielce nieprzyjemnym. Nie wiedzieli, w jaki sposób ożywić monotonię życia. Nadaremnie wyczekiwali na zmianę powietrza. Skoro życzeniu miss Campbell stałoby się zadość, niezawodnie byłaby przystępniejsza.

Miss Campbell tak była czymś głęboko zamyślona, że zapominała nawet witać ich we dnie i wieczorem.

Tymczasem barometr, wbrew życzeniom zakłopotanych wujów, nie posunął się ani na jeden milimetr. Nieraz już uderzali weń ręką, aby tym sposobem zmusić igłę magnesową do poruszenia, ale nie poruszyła się wcale.

Nagle bracia Melvill powzięli szczególną myśl.

Dnia jedenastego sierpnia po południu postanowili zaproponować miss Campbell grę w krokieta, aby ją czymkolwiek rozerwać, w której to grze z pozwolenia Heleny miał mieć udział Arystobul Ursiclos.

Trzeba wiedzieć, że brat Sib i brat Sam należeli do graczy pierwszej siły, czyniąc tym sposobem zaszczyt Zjednoczonemu Królestwu. Była to dawna gra nazwana *mail* bardzo odpowiednia dla płci pięknej.

W Oban było dość miejsca do podobnej gry. Ponieważ goście kąpielowi zwykle obejmowali w swoje posiadanie już to nadbrzeżne piaski, już trawniki, nie trzeba było zadawać sobie zbyt wiele trudu, celem wynalezienia właściwego miejsca do gry. Powierzchnia tu nie była piaszczysta, ale usłana darnią, co zwykle miejscowi nazywają polem krokietowym, *croquets grounds*. Polewana codziennie za pośrednictwem pompy i gładzona za pomocą właściwej ku temu maszyny, była tak gładka jak aksamit. Znajdowały się tam

małe sześciany z kamienia służące do umocowania bramek potrzebnych do gry, a wąski rowek ograniczał obszar tysiąca dwustu stóp kwadratowych przeznaczonych do gry w krokieta.

Ileż to razy bracia Melvill przypatrywali się młodzieży obojga płci grającej na tym placu! Zresztą niepodobna określić ich radości, że miss Campbell zgodziła się na propozycję. Będą więc mogli zabawić ją wobec widzów, których nigdy nie brak ani tu, ani w Helensburgh. Próżni ludzie!

Uprowadzono o tym Arystobula Ursiclosa, który też na chwilę zawiesił roboty i znalazł się właśnie w chwili rozpoczynania batalii na placu boju. I on również miał pretensję należenia do znakomitych graczy tak pod względem teorii, jak i w praktyce, grał jako uczonego, jako geometra, jako fizyk, jako matematyk, jednym słowem jako mąż pewny siebie, umiejący obrachować cały przebieg gry.

Niezbyt przyjemnie było miss Campbell, że dostała za partnera napszonego uczonego. Czy mogło być jednak inaczej? Niepodobna bez sprawienia przykrości obu braciom rozdzielać ich, stawiać jednego naprzeciw drugiego, gdy dotąd szli zawsze razem, ręką w rękę, tak połączeni ze sobą myślą i sercem, ciałem i duszą. Nie, tego uczynić nie mogła.

— Miss Campbell — odezwał się Arystobul Ursiclos — jestem niezmiernie szczęśliwy, że zostałem pani pomocnikiem, a jeżeli pani pozwoli, wytłumaczę pani teorię uderzania...

— Panie Ursiclos, trzeba przede wszystkim wygrać — odpowiedziała widocznie zniechęcona Helena.

— Wygrać?

— A właściwie przegrać — dodała Helena. — Byliby niepokieszeni, gdybyśmy ich pobili.

— Jednakże... pozwól pani... — rzekł Arystobul Ursiclos. — Grę tę znam jako geometra z profesji i szczerzę się tym. Obrachowałem doskonale kombinacje linii, wartości krzywych i mam pewną w tym wprawę...

— Ja o niczym zgoła nie myślę, chciałabym tylko sprawić przyjemność moim przeciwnikom. Zresztą są oni bardzo silni w tej grze, uprzedzam pana, i wątpię, czy umiejętność pańska wystarczy wobec ich niezwykłej biegłości.

— Zobaczmy zaraz — szepnął Arystobul Ursiclos, ponieważ żadne względy nie mogły go nakłonić do zrzeczenia się walki na serio... nawet chęć przypodobania się miss Campbell.

Tymczasem chłopiec do usługi przyniósł skrzynię, w której znajdowały się młotki, bramki i kule i inne potrzebne przyrządy.

Bramki, w liczbie dziewięciu, ustawiono w małych płytkach w romb, a dwoma kołkami osadzono po obu końcach pola.

— Proszę wybierać, kto zaczyna — rzekł brat Sam.

Kostki rzucono do kapelusza, każdy z grających sięgnął doń ręką.

Losem tedy nastąpiła kolej stosownie do kolorów: kula i młotek barwy niebieskiej dostały się bratu Samowi, młotek i kula czerwona Ursiclosowi; żółty młotek i kula bratu Sibowi, a zielona kula i młotek miss Campbell.

— Oczekiwałam na promień tej barwy — rzekła Helena. — Może to i dobra odpowiednia.

Brat Sam miał zatem zaczynać, jakoż rozpoczął wzięciem olbrzymiego niucha tabaki.

Trzeba było wtedy go widzieć. Z postawą ciała ani zbyt wyprostowaną, ani zbyt nachyloną, podając się jednak nieco naprzód z odrzuconą w tył głową, z rękami złożonymi, trzymając silnie młotek, aby mógł silnie uderzyć, z ręką lewą u góry, a prawą u dołu, z kolanami lekko zgiętymi, aby nadać większy impet rzutowi, ze stopą prawej nogi wprost kuli, a z lewą cofniętą w tył, przedstawiał prawdziwy typ amatora krokieta.

Wówczas brat Sam uniósł swój młotek, zataczając nim łagodne półkole, potem uderzył kulę leżącą o dziesięć cali od niego i nie poruszając wcale prawą ręką, ponowił tę operację po trzykroć.

Rzeczywiście, kula umiejętnie wprawiona w ruch przebiegła tuż pod pierwszą bramką, potem pod drugą, nowe uderzenie zmusiło ją do przebieżenia pod trzecią i dopiero pod czwartą zatrzymała się.

Jak na początek była to wyśmienita próba. Obecni nie mogli powstrzymać się od pochlebnego szeptu.

Teraz z kolei miał grać Ursiclos. Miał mniej szczęścia. Skutkiem niezręczności czy też pecha musiał uderzać kilka razy, zanim kula potoczyła się i przemknęła pod pierwszą bramką, drugą całkiem ominęła.

— Prawdopodobnie — odezwał się do miss Campbell — kula ta nie jest odpowiednio skalibrowana. Ponieważ, aby kula należyście się toczyła, potrzeba koniecznie, aby siła ciężkości koncentrowała się w samym środku.

— No, na ciebie kolej, wuju Sibie — wyrzekła miss Campbell, nie słuchając wcale rozprawy naukowej swego towarzysza.

Brat Sib był godnym towarzyszem brata Sama. Jego kula przeszła pod dwoma bramkami i zatrzymała się przy kuli Arystobula Ursiclosa, co pomogło w przeprowadzeniu jej przez trzecią bramkę.

Na koniec miss Campbell rozpoczęła grę zieloną kulą i dość zręcznie zdołała ją przeprowadzić pod dwiema pierwszymi bramkami.

Partia zatem rozpoczęła się od warunków bardzo sprzyjających braciom Melvill, którzy zbijali kule swoich przeciwników. Cóż to była za zawzięta walka.

Bracia porozumiewali się na migi, nie potrzebując wcale mówić, ostatecznie zaś posunęli się znacznie dalej od swoich przeciwników, co nadzwyczaj ucieszyło miss Campbell, a zasmuciło jej towarzysza Arystobula Ursiclosa.

Miss Campbell widząc wreszcie, że pozostała bardzo daleko w tyle, zaczęła grać uważniej i bardziej na serio i okazała dużo więcej zręczności od swego pomocnika, jakkolwiek ten uczenie rozprawiał o każdym nowym rzucie.

— Kąt padania jest zawsze równy kątowi odbicia i to powinno pani wskazać kierunek, w jakim potoczy się kula po dokonanej uderzeniu. Należy zatem korzystać...

— Ależ korzystaj pan, kiedy chcesz, przecież widzisz, że już chybiliśmy trzy bramki...

Rzeczywiście Arystobul był nadzwyczaj zdystansowany. Może z dziesięć razy usiłował trafić w środkową bramkę, ale nadaremnie. Jeszcze raz stanął w pozycji, podnosząc w górę młotek i pragnąc spróbować szczęścia.

Ale szczęście nie było mu wcale przychylnie. Kula za każdym razem uderzała o żelazo i w ogóle nie mogła przedostać się przez otwór bramki.

Miss Campbell zupełnie słusznie mogła uskarżać się na swego partnera.

Grała bardzo dobrze, toteż wujowie nie omieszkali udzielać jej pochwał.

Wyglądała naprawdę czarująco, oddana całą duszą grze, która w pełni ukazywała naturalną zręczność jej ruchów; z nogą cokolwiek wysuniętą naprzód, aby tym sposobem tym silniej kierować toceniem się kuli, cała jej postać zdradzała zaangażowanie, a na twarzy malowała się radość, jej uroczo zarysowana kibić obudzała ogólny zachwyty. Jednak Arystobul Ursiclos wcale na to nie zwracał uwagi.

Można powiedzieć, że gra doprowadziła młodego uczonego do wściekłości. Bracia Melvill mieli taką przewagę, że w żaden sposób niepodobna było im dorównać. Ale przy tym zwycięstwa krokietu są tak niespodziewane i nagłe, że nigdy nie można stanowczo określić, po której stronie będzie zwycięstwo.

Zatem na tak nierównych warunkach partię prowadzono dalej, gdy zaszedł zupełnie nieoczekiwany wypadek.

Oto Arystobul Ursiclos z nadmiaru zaciętrzewienia się z całą siłą chciał uderzyć kulę żelazem, tymczasem zamiast w kulę, uderzył się w nogę.

Jakże okropnie krzyczał! Stojąc na jednej nodze, wydawał jęki bólu, co po części zamiast współczucia wywoływało uśmiech.

Jeszcze śmieszniejsze było to, że kiedy bracia Melvill niemile dotknięci i przerażeni pospieszyli do niego, zaczął swój wypadek określać naukowymi terminami:

— Promień wyznaczony przez młotek nakreślił koncentryczne koło, które ledwie musnęło grunt, gdyż był zbyt krótki, stąd nieudane uderzenie. Wreszcie...

— A zatem przerwiemy partię? — zapytała miss Campbell.

— Przerwać partię! — krzyknął Arystobul Ursiclos. — Czy zostaliśmy zwycięzcami? Nigdy. Przyjmując w tym względzie rachunek przybliżony, można najsumienniejszym obliczyć...

— Dobrze więc. Grajmy dalej! — przerwała miss Campbell.

Pomimo przybliżonego obliczenia, pomimo sumiennosci rachunku, przewaga byla zawsze po stronie braci.

Brat Sam juz nawet wpędzil kulę w rowek, gdzie się mogła toczyć swobodnie, tak że po kilku jeszcze uderzeniach dokończono partię, bracia Melvill tryumfowali.

Co się tyczy Arystobula Ursiclosa, niepowodzenie tak go rozgniewało, że nawet nie próbował wbić środkowej bramki.

Bez wątpienia miss Campbell, choć w głębi duszy uradowana zwycięstwem wujów, chciała pokazać, że mocno ją irytuje powodzenie przeciwników, i bez zastanowienia się uderzyła kulę, nie troszcząc się wcale o to, w jakim pójdzie kierunku.

Kula wystrzeliła poza pole wyznaczane rowkiem, w stronę morza, odbiła się od żwiru, a jakby to powiedział Arystobul, jej masa przemnożona przez kwadrat prędkości, wyniosła ją ponad ziemię.

Istotnie było to fatalne uderzenie!

W tym właśnie miejscu siedział jakiś młody artysta, zajęty rysowaniem krajobrazu okolicy. Odbita kula uderzyła wprost w rozciągnięte na sztalugach płótno, zamazała zupełnie już pociągnięte farbą tło, a wreszcie przewróciła i same sztalugi.

Malarz, odwróciwszy się, wyrzekł z wielkim spokojem:

— Zwykle udziela się ostrzeżenia przed rozpoczęciem bombardowania. Nie jesteście tu bezpieczni.

Miss Campbell, która zupełnie nie spodziewała się skutku swego uderzenia, usłyszawszy to, pobięła do malarza:

— Ach, panie — rzekła z wielką grzecznością — wybacz pan, to przez moją niezręczność.

Malarz powstał i z uśmiechem uklonił się tej, która z wielkim wstydem była zmuszona prosić go o przebaczenie.

Malarzem tym był „rozbitek” z odmętu Corryvreckan!

XI. OLIVIER SINCLAIR

Olivier Sinclair był mężczyzną bardzo przystojnym, mówiąc zwykłym w owych czasach stylem, który tym przydomkiem określał człowieka młodego, dzielnego i pełnego życia; jeżeli jednak posiadał takie fizyczne przymioty, nie należało wątpić, że i przymioty moralne odpowiadają temu w zupełności.

Ostatnia odrośl znakomitej rodziny Edynburga, ten młody Ateńczyk z północnych Aten, był synem radcy dawniejszej stolicy Mid Lothian.

Pozbawiony w młodości ojca i matki, był wychowany przez swego wuja, jednego z czterech członków administracji krajowej. Ukończył świetnie kursy uniwersyteckie, później zaś mając już lat dwadzieścia, niezmiernie pragnący poznać świat, gdy majątek dawał mu pod tym względem odpowiednie środki, zwiedził najważniejsze kraje Europy, Indie i Amerykę, a sławny „Przegląd Edynburski” kilkakrotnie drukował jego barwne, piękne artykuły z podróży. Malarz wyśmienity, mogący, gdyby chciał, sprzedać bardzo drogo swe szkice i obrazy, poeta, bo któż nim nie jest w młodości, Olivier umiał się powszechnie podobać i wzbudzić dla siebie szacunek.

W stolicy Kaledonii ożenić się jest bardzo łatwo. Rzeczywiście obie płcie pod względem liczby przedstawiają znakomitą nierówność, bo kobiety o wiele przewyższają pogłowie męskie.

Młody malarz, wykształcony, przyjemny, dobrze ułożony, nie musiał zbytnio się trudzić nad znalezieniem jakiej dziedziczki, która by mu ofiarowała swoją rękę.

A jednakże mimo to Olivier w dwudziestym szóstym roku życia nie zdradzał jeszcze wcale chęci do pożycia we dwoje. Ścieżka życia wydawała mu się jeszcze zbyt wąska, aby można było iść ręką w rękę z drugą osobą. Być może jednak, że uważał za przyjemniejsze pozostać sam i nie wdrażając się do jednej tylko ścieżki, biec, gdzie go wiodła fantazja, iść tam, gdzie go prowadził zapal malarza.

Olivier jednakże łatwo bardzo mógł obudzić uczucie w jakiejś blondynce Szkotce. Jego przyjemna postać, otwarta twarz, jej szczery i energiczny wyraz, zdradzający dzielność i odwagę, łagodny uśmiech, wszystko w nim czarowało. Wiedział o tym, ale nie miał

zamiaru przywiązywać się do jakiejś istoty. Należał do tych ludzi, o których mówi szkockie przysłowie, że „nie odwracają się tyłem ani do przyjaciela, ani do nieprzyjaciela”.

Tymczasem tego właśnie dnia podczas dokonanego ataku odwrócony był tyłem do miss Campbell. Co prawda, miss Campbell nie była jego ani przyjaciółką, ani nieprzyjaciółką. Nadto, siedząc w takiej pozycji, nie mógł zauważyć pędzącej ku niemu z impetem kuli. Skutkiem tego kula zrobiła swoje, zamazała malowidło i wywróciła sztalugi.

Miss Campbell od pierwszego spojrzenia poznała swego bohatera z Corryvreckan, ale bohater wcale nie poznał młodej pasażerki z okrętu Glengarry. Widział miss Campbell zaledwie w przelocie, udającą się z wyspy Scarba do Oban.

Zapewne, gdyby był o tym wiedział, nie omieszkałby przynajmniej złożyć podziękowania swej wybawicielce, ale ponieważ nie wiedział o tym i zapewne wiedzieć już nie będzie, nie okazał najmniejszej oznaki wdzięczności.

W istocie miss Campbell w tym samym dniu zabroniła najsurowiej tak swoim wujom, jak też pani Bess i Partridge'owi, robienia jakiegokolwiek aluzji do owego pamiętnego dnia.

Po tym wypadku bracia Melvill również dołączyli do miss Campbell i zaczęli przesłać malarza.

— Ależ, moi panowie — rzekł — tak drobna rzecz nie potrzebuje tylu waszych trudów.

— Panie — mówił brat Sam — jesteśmy niezmiernie zmartwieni tym wypadkiem.

— Nawet niepokieszeni, że się to stało — dokończył brat Sib.

— Drobnośka, nie stało się przecież żadne nieszczęście — mówił młodzieniec z uśmiechem. — Zamazało się i nic więcej; zacnie się na nowo lub zmyje, i po wszystkim.

Olivier Sinclair mówił to szczerze, co usposobiło braci Melvill do podania mu ręki. W każdym wypadku czuli się w obowiązku zarekomendować się przystojnemu nieznanemu.

— Pan Samuel Melvill — rzekł jeden.

— Pan Sebastian Melvill — dodał drugi.

— Panów Mellvill siostrzenica, miss Campbell — rzekła ze swojej strony Helena, która nie uważała za błąd towarzyski przedstawianie siebie samej.

— Miss Campbell — rzekł malarz, grzecznie kłaniając się przy tym — i wy, panowie Melvill, przyjmijcie i ode mnie oznajmienie mojego nazwiska. Jestem Olivier Sinclair.

— Panie Sinclair — odpowiedziała miss Campbell, która prawie nie wiedziała, dlaczego w ten sposób mówi do malarza — racz pan po raz ostatni przyjąć nasze usprawiedliwienia się...

— I nasze — dodali bracia Melvill.

— Miss Campbell — zaczął Olivier Sinclair — powtarzam pani, że to nie warte zachodu. Usiłowałem odmalować wełnistosc fal morskich, a kula, jakby jakiś malarz starożytności, jakby jakaś wróżka z umoczoną gąbką, przyszła i zrobiła to, na co nie mogła zdobyć się moja fantazja.

Wypowiedziane to było takim uprzejmym tonem, że miss Campbell i bracia Melvill nie mogli powstrzymać się od uśmiechu.

Co się tyczy płótna Oliviera, to okazało się już bezużyteczne i należało nakleić nowe na blejtram, aby rozpocząć obraz.

Łatwo odgadnąć, że pan Arystobul Ursiclos nie wziął wcale udziału ani w rozmowie, ani w przeprosinach.

Partia była skończona, a młody uczonec, niezmiernie zakłopotany tym, że jego wiedza teoretyczna zupełnie nie odpowiadała wprawie czerpanej z praktyki, oddalił się i wrócił do hotelu. Nie widziano go przez trzy lub cztery dni, ponieważ wyjechał na wyspę Luing, jedną z najmniejszych na archipelagu hebrydzkim, położoną obok wyspy Seil, gdzie właśnie miał zamiar przeprowadzić badania geologiczne nad łupkami, który znajdują się tam w wielkiej obfitości.

W dalszej zatem rozmowie, która toczyła się bardzo swobodnie, Olivier Sinclair przekonał się, że mieszkańcom hotelu Caledonia był już częściowo znany. Jakoż dowiedziawszy się o tym, zawołał:

— Jak to, miss Campbell i wy, panowie Melvill, znajdowaliście się więc na pokładzie okrętu Glengarry, który mnie wyciągnął z wody jak szczupaka?

— Tak, panie Sinclair.

— A pan nas nadzwyczaj przeraził, gdyśmy ujrzeli, że na skutek zbyt ryzykownej wycieczki wasza łódź może zniknąć bez ratunku w odmętach Corryvreckan!

— Przypadek czy los bardzo przyjazny, gdyż bez interwencji naszej...

W tym miejscu miss Campbell uczyniła dosadny znak milczenia. Była to wola Matki Boskiej rozbitków, a ona nie życzyła sobie, aby ją posądzono o jakikolwiek udział w ratowaniu lekkomyślnych podróżników.

— Ależ, panie Sinclair — odezwał się znowu brat Sam — jakim sposobem ten stary rybak, który panu towarzyszył, mógł się zgodzić na podobnie niebezpieczną wycieczkę?

— Zwłaszcza gdy jako doświadczony żeglarz wiedział bardzo dobrze, czym grozi podobne pływanie po falach odmętu? — dodał brat Sib.

— To wcale nie jego wina, moi panowie — rzekł Olivier Sinclair. — Nierozsądek był po mojej stronie i nawet były chwile, gdy już czyniłem sobie wyrzuty, że to ja przyczyniłem się mimo woli do niechybnej śmierci rybaka. Ale barwa tych fal odmętu była tak niesamowita, tak uspokajająca, przy tym morze wyglądało jak wzorzysta koronka dziergana misternie jedwabiem z błękitu. Otóż nie obawiając się niczego, zapragnąłem odszukać jakieś nowe barwy w tej przestrzeni zalanej pianą i światłem. Z tej to przyczyny posuwałem się coraz dalej, coraz dalej. Mój stary rybak doskonale przeczuwał grożące niebezpieczeństwo, nawet czynił mi uwagi, pragnął koniecznie powrócić do wyspy Jura, ale ja zupełnie się na to nie zgodziłem i nie słuchałem rozumnych przestróg. Tym sposobem wpadliśmy w sam wir odmętu! Niespodziewane uderzenie skaleczyło mego towarzysza, który tym sposobem nie mógł mi już pospieszyć z pomocą, i gdyby nie opatrnościowa interwencja statku Glengarry, gdyby nie poświęcenie kapitana, gdyby nie uczuciowość pasażerów, przeszlibyśmy obydwa, ja i mój towarzysz, do tradycji ludowej i teraz zaliczano by nas do ofiar pochłoniętych odmętami Corryvreckan.

Miss Campbell słuchała, nie wyrzekłszy ani jednego słowa, patrząc swymi pięknymi oczami na młodzieńca, którego jej spojrzenie nie wprowadzało wcale w zakłopotanie. Nie mogła jednak powstrzymać się od uśmiechu, gdy mówił o swoim tropieniu czy raczej łowieniu morskich odcieni.

Czyż ona nie była również w tym samym położeniu? Czyż nie przybyła tu, do Oban, idąc za popędem fantazji, by ujrzeć zielony promień?

Bracia Melvill nie omieszkali też wkrótce powiadomić Oliviera o celu swojej podróży do Oban; mianowicie, że przybyli tu, aby badać widowisko meteorologiczne trudne do zobaczenia w miejscu, gdzie mieszkali, a mianowicie celem ujżenia zielonego promienia.

— Zielonego promienia! — zawołał malarz.

— Czy pan już go kiedy widziałeś? — zapytała niezmiernie zaciekawiona młoda dziewczyna.

— Nie, miss Campbell — odpowiedział Olivier Sinclair. — Nawet nie wiem zgoła, czy istnieje jakiś zielony promień. Doprawdy nie. Otóż i ja pragnę go ujrzeć. Ani razu słońce nie zajdzie za horyzont bez mojej obecności. I na świętego Dunstana, nie będę malował inaczej, jak tylko zieloną barwą jego ostatniego promienia.

Trudno było stanowczo określić, czy Olivier Sinclair mówił to na serio, czy też ironicznie, wszakże wrodzone przecucie uprzedzało miss Campbell, że młodzieniec mówił z rzetelnym zapałem artysty.

— Panie Sinclair, zielony promień nie należy do mnie, jest własnością ogółu. Świeci dla każdego. Nie traci na wartości widziany jednocześnie przez kilka osób. Otóż jeżeli pan sobie tego życzy, będziemy się starali przypatrzeć mu się razem.

— Z największą przyjemnością.

— Ale potrzeba wiele cierpliwości.

— Będziemy ją mieli.

— Czy nie należy obawiać się jakiegoś osłabienia wzroku? — zapytał brat Sam.

— Zielony promień godzien jest tego poświęcenia — odpowiedział Olivier Sinclair — i nie oddalę się z Oban dopóty, dopóki go nie ujrzę.

— Byliśmy już na wyspie Seil, by go zobaczyć, ale zielony promień zasłoniła nam chmura, która nadciągnęła właśnie w chwili, gdy słońce już zachodziło.

— Otóż prawdziwy pech.

— Tak jest, panie Sinclair, ponieważ od owego dnia niepodobna było się spodziewać, by niebo pozostało bez chmury.

— Jednakże ja mam nadzieję — odparła miss Campbell. — Lato jeszcze nie wypowiedziało swego pożegnania i zanim nadejdą niepogody, wierz mi pan, słońce zechce nas udarować zielonym promieniem.

— Aby pana objaśnić o wszystkich przeszkodach w tym względzie, dodam, że wieczorem w dniu drugiego sierpnia, w czasie pamiętnego wypadku na wodach odmętu Corryvreckan, również utraciliśmy sposobność ujrzenia zielonego promienia, z powodu zajęcia się pewnym ratunkiem...

— Jak to?! — zawołał Olivier Sinclair. — To ja byłem tak niezręczny i spowodowałem, że pani nie mogłaś zobaczyć zielonego promienia? Kiedy tak, to do mnie należy obecnie postarać się o wynalezienie odpowiedniej chwili, abyś ujrzała niebawem ten promień.

W ten sposób rozmawiano, kierując się do hotelu Caledonia, gdzie poprzedniego dnia, po powrocie z wycieczki do Dalmally, zamieszkał również i Olivier Sinclair. Młodzieniec podobał się nadzwyczajnie obu braciom, opowiadał o Edynburgu i o swym wuju Patryku. Okazało się, że bracia Melvill żyli z nim kiedyś w ściślejszej przyjaźni. Że te dwie rodziny przed laty połączone były związkami bliższej znajomości, ale oddalenie rozerwało te węzły. Tym sposobem dawniejsze stosunki mogły być przywrócone na nowo. A ponieważ Olivier Sinclair życzył sobie koniecznie ujrzeć zielony promień, więc się tak złożyło, że miał pozostać tu na dłużej.

Bracia Melvill, miss Campbell i Olivier Sinclair spotykali się prawie codziennie na plaży Oban. Razem więc badali warunki i okoliczności towarzyszące zachodowi słońca. Dziesięć lub więcej razy na godzinę sprawdzali barometr, ale ten jednak nie zapowiadał wcale pogody.

Wreszcie czternastego sierpnia Olivier Sinclair zawiadomił miss Campbell, iż barometr ukazuje niewątpliwą pogodę. Lazur nieba rzeczywiście nie miał na sobie ani jednej smugi, ani najmniejszej chmurki, należało się spodziewać, że zachód słońca będzie cudowny.

— Jeżeli dziś nie ujrzymy przy zachodzie słońca naszego zielonego promienia, to chyba bylibyśmy niewidomi.

— Wujowie, czy słyszycie — odpowiedziała miss Campbell — to zatem dziś wieczorem!

Należy jeszcze dodać, że tego dnia postanowiono odjechać na wyspę Seil i rzeczywiście odjazd nastąpił o godzinie piątej.

Powóz udał się malowniczą drogą ku Glachan, miss Campbell promieniowała radością, nie mniej i bracia Melvill, zachwyceni tym niezwykle usposobieniem swojej siostrzenicy. Olivier Sinclair także podzielał ogólną wesołość malującą się na twarzach wszystkich.

Można by było twierdzić, że to właśnie oni sprowadzili promienie słońca do wnętrza powozu i że cztery konie zaprzężone do karety były prawdziwymi rumakami Febusa.

Przybywszy na wyspę Seil rzeczywiście znaleźli horyzont jasny, niezastłony najmniejszą zgołą przeszkodą, żadnym paskiem chmury. Nic nie tamowało teraz sposobności ujrzenia tak upragnionego zielonego promienia.

— Ujrzymy tedy nareszcie ów kapryśny promień, który nas tyle razy najhaniebniej uwodził swymi wybrykami! — wykrzyknął radośnie Sinclair.

— Tak sądzę — odpowiedział brat Sam.

— Jestem tego pewny — domówił niby echo brat Sib.

— A ja mam niepłonną nadzieję — wtrąciła miss Campbell, przyglądając się powierzchni morza gładkiej jak tafła lustra — że dzień dzisiejszy spełni nasze oczekiwania!

Rzeczywiście wszystko usposabiało do przekonania, że tym razem nic nie przeszkodzi ujrzeniu tego niezwykłego fenomenu natury.

Już oto promienna gwiazda zniżyła się, tonąc po obłoczystym łuku powietrznym, i zdawało się, że tylko kilka stopni dzieliło ją od poziomu morskiego horyzontu. Jej tarcza opromieniona została czerwonym światłem i rzucała krwawe promienie na powierzchnię fal morza.

Wszyscy nieruchomi, z zapartym oddechem w piersiach oczekiwali ważnej chwili, przypatrując się słońcu, które z wolna zniżyło się, podobne do olbrzymiej, rozpalonej do czerwoności kuli.

Nagle dziwny krzyk wyrwał się z ust miss Campbell. Była świadkiem czegoś, czego nie dostrzegli ani bracia Melvill, ani Olivier Sinclair.

Oto niedaleko wyspy Easdale pojawiła się jakaś szalupa i z wolna posuwała się po falach ku zachodowi. Rozwinięty żagiel niby rodzaj ekranu zakrywał całą tarczę słoneczną widzianą w dalekiej przestrzeni. Czyżby zatem miał zasłonić słońce w chwili najważniejszej, decydującej i stanowczej?

Była to kwestia czasu. Nie było czasu zawrócić czy pobiec w inną stronę, zaś wąskość przylądka wyspy uniemożliwiała oddalenie się o kąt wystarczający do tego, by mieć inny widok na słońce.

Miss Campbell, niezmiernie zmartwiona tą nową przeszkodą, wdzierала się na pobliskie skały. Olivier Sinclair poruszał rękami i powiewał chustką, jakby dla odpędzenia tego nieoczekiwanego widma.

Nadaremne usiłowania!

Na szalupie niczego nie widziano, niczego nie słyszano. Przeciwnie, lekka bryza i fale stałe unosiły ją ku zachodowi.

W chwili, kiedy słońce zniżyło się prawie do horyzontu, trapez żagla całkowicie zasłonił jego tarczę.

Zawód najokropniejszy!

Słońce w tym momencie rzuciło swe ostatnie promienie, tonąc w otchłaniach morskich.

Miss Campbell, Olivier Sinclair i bracia Melvill, nadzwyczaj zaniepokojeni, nawet rozniewani tym nowym zawodem, byłiby niewątpliwie starli w proch ową szalupę tak niefortunnie wpływającą na drogę, na której miał zajaśnieć zielony promień.

Tymczasem łódź przybiła do zatoczki u stóp cypla wyspy Seil.

W tej chwili wysiadł z niej na ląd jakiś pasażer, pozostawiając w szalupie dwóch majtków, którzy przywieźli go z wyspy Luing; po czym z wolna począł wdzierać się na skałę, by dotrzeć na szczyt przylądka.

Niewątpliwie musiał poznać grupę obserwatorów przebywających na płaskowyżu, bo zdjął kapelusz i kłaniał się bardzo grzecznie.

— Pan Ursiclos! — zawołała miss Campbell.

— On! To on! — dodali bracia.

— Któż to taki ów jegomość? — zapytał Olivier Sinclair.

Był to rzeczywiście Ursiclos we własnej osobie, powracający właśnie z jakiejś uczonej wycieczki z wyspy Luing. Jak został przyjęty przez wszystkich, kiedy nareszcie zbliżył się do nich, można sobie łatwo wyobrazić.

Bracia Melvill, zapominając na chwilę o koniecznej w tym względzie towarzyskiej grzeczności, nie przedstawili wcale Oliviera Sinclaira panu Arystobulowi Ursiclosowi. Wobec rozirytowanej Heleny spuścili oczy, aby nie widzieć zachmurzonej twarzy swojej siostrzenicy.

Miss Campbell z założonymi na piersiach rękami, z okiem pałającym ogniem gniewu, patrzyła na niego, nie mówiąc ani słowa.

Później jednak wybąknęła gniewnie te słowa:

— Byłoby dużo lepiej, panie Arystobulu Ursiclosie, gdybyś nas pan nie obdarzył niespodzianym widokiem swej osoby.

XII. NOWE ZAMIARY

Powrót do Oban odbył się w o wiele mniej przyjemnych warunkach niż wyjazd na wyspę Seil. Wyjeżdżano z nadzieją, a tymczasem przed powrotem wszyscy doznali najokropniejszego zawodu.

Sz szczególnie Miss Campbell nie posiadała się z gniewu, a główną przyczyną niepowodzenia był jak zawsze nieszczęsny pan Arystobul Ursiclos. Wiedziała o tym i pragnęła cały ciężar swego gniewu zwalić na głowę tak niefortunnie przedstawiającego się jej człowieka.

Bracia Melvill byli by nierozważni, gdyby próbowali podjąć się jego obrony. Właśnie koniecznie w tym momencie, jakby naumyślnie, musiał się zjawić ze swoją szalupą, aby pozbawić ich upragnionego od tak dawna widoku. Nie! Podobnej niezręczności nie przebacza się nigdy, pod żadnym pozorem.

Należy jeszcze dodać, że pan Arystobul Ursiclos, usłyszawszy tę ocenę, poważył się, zamiast wytłumaczenia i przeprosin, drwić sobie z zielonego promienia. Potem zaś widząc zaszępane wszystkie twarze, powrócił do swojej szalupy. Bardzo dobrze uczynił, bo niezawodnie nie znalazłby miejsce w powozie.

Tym sposobem dwa razy już słońce było w tym położeniu, że mogło obdarować widzów niezwykłym widokiem i dwa razy dziwne, nieprzewidziane przeszkody przeszkodziły ujrzaniu niebywałego fenomenu. Naprzód zobaczenie go opóźniły starania uratowania tonącego Oliviera Sinclaira, a teraz znowu niezgrabne i nieprzyzwoite zachowanie się pana Arystobula Ursiclosa odwlekło na długo przyjemność od tak dawna wyczekiwaną.

W obu tych wypadkach rzeczywiście przeszkody były nieprzewidziane, chociaż miss Campbell jedną całkowicie usprawiedliwiała, ale drugiej nie mogła żadną miarą przebaczyć.

Któż w tym względzie mógłby jej zarzucić stronność?

Nazajutrz Olivier Sinclair głęboko zamyślony przechadzał się po plaży.

Kim był ten pan Arystobul Ursiclos? Czyżby miał to być jakiś krewny miss Campbell albo może braci Melvill, a może tylko po prostu przyjaciel rodziny? Poznać to było można ze szczególnego zachowania się miss Campbell wobec tej osobistości, z jej wyrzutów, tak śmiało mu uczynionych.

Cóż to wreszcie tak interesowało Oliviera Sinclaira? Jeżeli chciał koniecznie wiedzieć, mógł się zapytać braci Melvill... Jednak dziwnym zbiegiem okoliczności, jakoś nie mógł się zdobyć na odpowiednią do tego odwagę.

Wszakże wkrótce pojawiła się sprzyjająca temu sposobność.

Każdego dnia spotykał braci Sama i Siba jako nieodłącznych towarzyszy, co niezmiernie podobało się Olivierowi.

Rozmawiano o rozmaitych rzeczach, a przede wszystkim o pogodzie, jako o rzeczy zajmującej wszystkich w ogóle. Czy rzeczywiście nadejdzie nareszcie kiedyś jakiś wieczer i niebo bez chmury, czyste, o jasnym błękicie?

W istocie od tych dwu pięknych dni, drugiego i czternastego sierpnia, niebo nieustannie było zachmurzone, niepodobna więc myśleć, aby zielony promień w takich warunkach mógł być widzialny.

Dlaczego nie mamy powiedzieć, że obecnie młody malarz z takim samym upragnieniem jak miss Campbell wyglądał pojawienia się zielonego promienia. Niemal nieustannie chodzili razem i badali horyzont.

Fantazja malarza wzburzyła się, śmiało stwierdzimy, że pragnienie ujrzania owego fenomenu stało się prawie drugim warunkiem życia. Oboje pragnęli mieć szczęście, by jak najprędzej ujrzeć zielony promień.

— Ujrzymy go, miss Campbell — mówił Olivier — zobaczymy ten fenomen, choćbym miał go sam zapalić na niebie. Wszak to z mojej winy straciłaś pani sposobność zobaczenia go. Jestem równie odpowiedzialny za to, jak za następną przeszkodę pan Arystobul Ursiclos, pani krewny, jak sądzę.

— Nie, to mój narzeczony — odpowiedziała miss Campbell, oddalając się z wielkim pośpiechem za postępującymi naprzód wujami, częstującymi się wzajemnie tabaką z wspólnej tabakiery.

— Jej narzeczony!

To wyznanie wywarło szczególne wrażenie na Olivierze Sinclairze, nie spodziewał się bowiem nigdy usłyszeć czegoś podobnego. Wreszcie dłączegóżby ten młody pedant nie miał być jej narzeczonym? Przynajmniej w ten sposób można było wyjaśnić jego pobyt w Oban. Dlaczego jednak po naganie otrzymanej za to, że się niewłaściwie wybrał z szalupą, dlaczego, powtórzmy, unikał jej towarzystwa, dlaczego nie chodził razem z miss Campbell i jej wujami?

Co się z nim stało?

Tymczasem po dwóch dniach nieobecności Arystobul Ursiclos pojawił się znowu. Olivier Sinclair kilka razy spostrzegł go w towarzystwie braci Melvill, którzy dla niego nie byli znowu tak surowi.

Młody malarz i młody uczoney również po kilka razy spotykali się ze sobą, już to na plaży, już to w hotelu Caledonia. Obaj zatem wujowie uważali za obowiązek grzeczności poznać tych panów ze sobą.

— Pan Arystobul Ursiclos z Dumfries!

— Pan Olivier Sinclair z Edynburga!

Przedstawienie wzajemne odbyło się wedle form towarzyskich, obaj pochylili z lekka głowę, ale w tym ruchu nie brało udziału ciało. Widocznie pomiędzy charakterami tych dwóch ludzi nie zachodziła żadna sympatia.

Jeden starał się badać niebo, aby dotrzeć do gwiazd, drugi badał żywioły natury. Jeden z nich, artysta, nie próbował stawać na piedestale sztuki, drugi przeciwnie, starał się postawić w liczbie znakomitości i w tym też tonie perorował.

Co się tyczy miss Campbell, to nadal jeszcze w głębi serca żywiła urazę do Arystobula Ursiclosa.

Jeżeli znajdował się w salonie, udawała, że go wcale nie spostrzegła; kiedy przechodził, odwracała się. Jednym słowem, na każdym kroku dawała mu do zrozumienia, że ją na siebie oburzył. Bracia Melvill usiłowali zażegnać niezgodę, ale się im to nie powiodło.

Cokolwiek miałoby nastąpić, byli z góry przekonani, że pojawienie się zielonego promienia zmieni humor wszystkich.

Tymczasem Arystobul Ursiclos znad okularów uważnie przyglądał się postaci Oliviera Sinclaira, zwykły manewr krótkowidza, który musi się długo się wpatrywać, by coś dobrze rozpoznać.

Barometr uporczywie stał nieustannie w jednym miejscu i na chwilę nawet wskazówka nie posunęła się ani na jeden milimetr dalej. Zawsze pełni nadziei, codziennie robili wycieczki na wyspę Seil, w których brać udziału Arystobul Ursiclos nie uważał za konieczne.

Tym sposobem zbliżył się 23 sierpnia, a niebo pozostało ciągle zachmurzone.

Nadzieja ujżenia zielonego promienia stała się ideą uporczywą, zajmującą nieustannie umysły wszystkich od świtu do wieczora.

Marzono o tym po nocach prawie. Dziwnym zbiegiem jednych i tych samych myśli, wszystkim wydawało się, że mają przed sobą zieloność: niebo błękitne było zielone, drogi pokryły się tą samą barwą, plaża także wyglądała jakby zielona, skały były zielone, a nawet woda zdradzała barwę zieloności, jakby była absyntem. Braciom Melvill wydawało się również, że są ubrani w suknie zielonego koloru i czuli się jak dwie papugi, nawet zażywali tabakę zieloną jak grynszpan z tabakierki takiejże samej barwy.

Jednym słowem była to mania zieloności.

Wszyscy dotknięci byli daltonizmem, a profesor okulistyki miałby tu znakomite zadanie do rozwiązania, badając przejawy oftalmologiczne.

Nie mogło to jednak trwać zbyt długo.

Szcześnie Olivier Sinclair wpadł na cudowny pomysł.

— Miss Campbell — rzekł jednego dnia — i wy, panowie Melvill, zdaje mi się, że po dobrym i długim zastanowieniu się przyznacie, że Oban nie jest wcale odpowiednim miejscem do wyczekiwania na pojawienie się tak upragnionego przez nas fenomenu.

— Czyja to wina? — zapytała Miss Campbell, patrząc badawczym wzrokiem na dwóch braci, którzy spuścili oczy ku ziemi.

— Tutaj nie ma wcale horyzontu morskigo — dodał młody malarz. — Musielibyśmy szukać stanowiska aż przy wyspie Seil i również nie wiadomo, czy dotarlibyśmy na odpowiedni moment.

— To bardzo być może — odpowiedziała miss Campbell. — Doprawdy, nie wiem, dlaczego moi panowie wujowie wybrali tę okolicę, najniewłaściwszą do czynienia spostrzeżeń.

— Kochana Heleno — odezwał się brat Sam, nie wiedząc zgoła, co ma powiedzieć — myślałem...

— Tak jest, myśleliśmy... to jest to samo, co chciał powiedzieć mój brat — dodał brat Sib, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, by przedstawić myśli ich obu.

— Że słońce będzie każdego dnia zachodziło za horyzont w Oban...

— Ponieważ Oban jest położone na brzegu morza.

— Źle myśleliście tedy, moi wujowie — odparła miss Campbell. — Bardzo źle, ponieważ ono tu wcale nie zachodzi.

— Rzeczywiście — zaczął na nowo brat Sam. — To te wyspy, tak fatalnie położone, to one zasłaniają nam cały widok.

— Przecież nie macie zamiaru wysadzić ich w powietrze — wtrąciła miss Campbell.

— O, gdyby tylko było możliwe, niezawodnie dawno bylibyśmy to wykonali — dodał brat Sib głosem stanowczym.

— Niemniej niepodobna pojechać i na stałe zamieszkać na wyspie Seil — zrobił uwagę brat Sam.

— Dlaczego nie?

— Kochana Heleno, jeżeli pragniesz tego koniecznie.

— Koniecznie.

— W takim razie jedziemy — odpowiedzieli równocześnie obaj bracia, brat Sam cicho i pokornie, brat Sib głosem donośnym i z wielką stanowczością.

Dwie te istoty tak oddane swej siostrzenicy były gotowe natychmiast opuścić Oban.

Wdał się pomiędzy nich Olivier.

— Miss Campbell — rzekł — jeżeli pani życzy sobie tego koniecznie, to moim zdaniem byłoby dużo lepiej pojechać w inne miejsce i wcale nie myśleć o wyspie Seil.

— Mów pan, panie Sinclair, a jeżeli pański plan okaże się praktyczny, natychmiast zabierzemy się do jego wykonania.

Bracia Melvill ukłonili się i to z taką dokładnością, jak gdyby rzeczywiście głowy ich i ciała stanowiły jedną osobę.

— Na wyspie Seil nie moglibyśmy zatrzymać się dłużej niż na kilka dni. Jeżeli miss Campbell zechce mieć nieco cierpliwości, postaramy się, aby znaleźć coś lepszego, bardziej odpowiedniego. Zresztą widziałem wyspę Seil i zdaje mi się, że widok jest zbyt ograniczany przez konfigurację wybrzeża. Jeżeli zatem, czego sobie ani państwu nie życzę, bylibyśmy zmuszeni pozostać tam dłużej, jeżeli pobyt nasz przeciągnąłby się kilka tygodni, to mogłoby się okazać, że słońce, teraz cofające się na zachód, w końcu zachodziłoby za Colonsay, za Orsay albo za wielką wyspą Islay, co uniemożliwiłoby badanie fenomenu.

— Rzeczywiście — odparła miss Campbell — byłby to już ostatni stopień niepowodzenia...

— Możemy przecież tego uniknąć, szukając nieco dalej, a mianowicie poza obrębem archipelagu hebrydzkiego, gdzie otwierałby się przepyszny, swobodny widok na cały Ocean Atlantycki.

— Czy pan zna takie miejsce, panie Sinclair? — zawołała z żywością miss Campbell.

Bracia Melvill, prawie ogluszeni tym, co mówił, patrzyli na usta mówiącego, jakby stamtąd miały wypaść pioruny. Co on jej na to odpowie? Dokądże imaginacja siostrzenicy ich zaprowadzi nareszcie? Na jaki biegun czy do jakiego kraju mają się udać, aby z całym spokojem przypatrzeć się promieniowi?

Odpowiedź jednak Oliviera uspokoiła ich najzupełniej.

— Miss Campbell — mówił malarz — niedaleko stąd jest wyspa, która wedle mnie przedstawia wszystkie potrzebne w tym celu warunki. Znajduje się za wzniesieniami wyspy Mull, które zamykają zachodni horyzont Oban. To jedna z małych wysep archipelagu hebrydzkiego, na skraju Oceanu Atlantyckiego, to urocza wyspa Iona.

— Iona! — zawołała miss Campbell. — Iona, moi wujowie, dlaczegoż jeszcze nas tam nie ma?

— Ale będziemy jutro — rzekł Sib.

— Jutro przed wschodem słońca — dodał brat Sam.

— A zatem jedźmy — odpowiedziała miss Campbell. — A jeżeli na Ionie nie znajdziemy dość otwartej przestrzeni, wiedzcie o tym, moi wujowie, że pojedziemy dalej odszukiwać odpowiedniego punktu na wybrzeżu, poczynając od John o' Groats na północnym krańcu Szkocji aż do Land's End na południu Anglii, a jeżeli to jeszcze nie wystarczy...

— Oczywiście — powiedział Olivier Sinclair — pojedziemy naokoło świata.

XIII. WSPANIAŁOŚĆ MORZA

Któż uległ rozpacz, dowiedziawszy się o postanowieniu gości? Właściciel hotelu Caledonia. Zaczny gospodarz, gdyby mógł, niezawodnie wysadziłby w powietrze wszystkie

morza i wszystkie znajdujące się na nich wyspy. Pocięsział się tylko przekonaniem, że udzielił gościnniej rodzinie cierpiącej na monomanię.

O godzinie ósmej rano bracia Melvill, miss Campbell i pani Bess oraz Partridge popłynęli na okręcie Pioneer, który, jak głosił prospekt, okrążyła wyspę Mull, przybija do Iony i Staffy, i wieczorem tego samego dnia powraca do Oban.

Olivier Sinclair uprzedził swoich towarzyszy i czekał na nich na pomoście przystani, przy trapie przerzuconym pomiędzy jednym a drugim kołem parowca.

O Arystobulu Ursiclosie nie było mowy przy układaniu planów wycieczki. Jednakże bracia Melvill uważali za stosowne dać mu znać o tym nagłym odjeździe. Sama grzeczność tego wymagała, a bracia odznaczali się wyszukaną grzecznością.

Arystobul Ursiclos przyjął wiadomość bardzo chłodno, podziękował, ale nie wspomniał nawet, jakie ma nadal plany.

Bracia Melvill odeszli zatem w tym przekonaniu, że jakkolwiek ich protegowany trzyma się teraz nieco na uboczu, to przecież humor się poprawi, gdy któregoś pięknego jesiennego wieczoru miss Campbell ujrzy upragnione przez siebie zjawisko.

Już wszyscy pasażerowie zgromadzili się na statku i po trzecim gwizdnięciu Pioneer powoli wyruszył z przystani, kierując się ku cieśninie Kerrery.

Na pokładzie znajdowało się sporo pasażerów, których pocięgała urocza wycieczka wokół wyspy Mull, odbywająca się raz lub dwa razy w tygodniu, lecz miss Campbell i jej towarzysze mieli ich opuścić na pierwszym przystanku.

Tym sposobem spóźnili się nieco z przybyciem na Ionę. Pogoda była prześliczna, morze spokojne jak jezioro. Podróż zatem wydała się nadzwyczaj przyjemna. Gdyby jeszcze ten wieczór okazał się ową tak upragnioną chwilą pojawienia się zjawiska, nic by nie brakło do uzupełnienia ogólnej radości. Czekaliby najspokojniej, znalazłszy się na wyspie, bo też rzeczywiście zapewniała ona zupełnie swobodne i otwarte pole do prowadzenia badań nad tym zjawiskiem meteorologicznym.

Na koniec zbliżono się do celu podróży.

Szybki Pioneer, wypłynąwszy z cieśnin Kerrery, okrążył południowy koniuszek wyspy, i puścił się w poprzek szerokiego ujścia cieśniny Frith of Lorn, pozostawiając po lewej ręce Colonsay i jego starożytne opactwo, założone w XIV wieku przez słynnych Lord of the Isles i następnie zbliżył się ku południowym brzegom Mull, leżącego na otwartym morzu niczym ogromny krab z dolnymi szczypcami lekko zakrzywionymi na południowym zachód.

Za chwilę pokazało się Ben More, na wysokości trzy tysiące pięćset stóp nad poziomem znajdujących się tam wzgórz, których lasy tworzyły naturalną osłonę od wicherów i nawałnic morskich. Na szczycie znajdowało się obfite pastwisko.

Malownicza zatem Iona pozostała ku północo-zachodowi, prawie dotykając granic południowych wyspy Mull. Morze Atlantyckie rozlewało się tutaj w całym swoim majestacie.

— Czy lubi pan ocean, panie Sinclair? — zapytała miss Campbell swego młodego towarzysza, który siedząc obok niej, wpatrywał się w przestwór wód.

— Czy lubię? — odpowiedział. — O tak, bowiem nie przywykłem do jednostajnego życia. W moim rozumieniu morze jest nieustannym ruchem, ulega nieustannej zmianie. Można by nawet porównać je do fizjonomii ludzkiej, na której skutkiem różnolitych pobudek malują się coraz to nowe wrażenia.

— Rzeczywiście, jego powierzchnia zmienia się prawie za najmniejszym podmuchem wiatru.

— Proszę spojrzeć, miss Campbell, na przykład w tej chwili! — zawołał Olivier Sinclair. — Jest teraz bezwarunkowo spokojne. Czyż nie jest to oblicze człowieka zadowolonego z siebie? Nie ma ani jednej zmarszczki na sobie, jest młodzieńcze, piękne! Jest to prawdziwe zwierciadło, w którym się przegląda sam Bóg!

— Zwierciadło, jakie nieraz brudzi wicher nawałnicy — dodała miss Campbell.

— To właśnie stanowi różnorodność widoków morza. Skoro tylko nastąpi choćby najmniejszy wietrzyk, powierzchnia jego zmienia się, można by powiedzieć, że to oblicze starzeje się, pokrywa zmarszczkami i siwizną piany fal, jakkolwiek przeżyło wieki, w jednej chwili prawie przybiera oblicze starca lub też łśni fosforescencją i koronkami zbierającej się na nim piany.

— Czy sądzisz pan, że żaden z malarzy żyjących dotychczas na świecie nie był w stanie oddać pędzlem prawdziwego widoku morza?

— Bynajmniej tak nie myślę. Morze właściwie nie ma żadnej właściwej barwy. Jest nieustannym odbiciem rozpiętego nad nim stropu nieba. Czy jest zatem niebieskie? Niepodobna je przedstawić jako płytę lazuru. Być może właściwym jego kolorem jest zielony. I to byłoby nieprawdziwe. Morze mieści w sobie kalejdoskop kolorów. O miss Campbell, im dłużej w nie się wpatruję, tym wznioślejsze mi się zdaje. Ocean, jak powiada Darwin, okrywa swą szatą głębie bezgranicznych obszarów, przy których nasze są jak pustkowia. Czym są wobec niego największe kontynenty? ledwie wyspami otaczanymi przez jego wody. Pokrywa cztery piąte kuli ziemskiej. Ocean to nieskończoność, nieskończoność, której widzieć nie podobna, ale jaką się przeczuwa, idąc za słowami poety, niezmierna jak przestrzeń, którą odbija w swych wodach.

— Lubię słuchać pana, gdy mówi pan z zapałem artysty, panie Sinclair — odpowiedziała miss Campbell — podzielał go zupełnie. Tak jest, lubię ocean, tak jak go pan lubi.

— A czy pani nie trwoży grożące zawsze na nim niebezpieczeństwo?

— Nie, doprawdy, nie mam najmniejszej obawy. Czyż można obawiać się tego, co się uwielbia?

— Byłabyś pani zatem niezmiernie dzielną podróżniczką.

— Prawdopodobnie, panie Sinclair. Ze wszystkich jednak podróży, o jakich zdarzyło mi się słyszeć, wolę podróż mającą na celu odkrycie dalekich, nieznanych krajów. Z jakąż rozkoszą czytałam opisy i nieomal brałam udział w wyprawach podróżników. Jakże często myślałam przenosiłam się w te chwile niebezpieczeństwa.

— O tak, zapewne, w historii ludzkości najpiękniejszą kartą są zdobycze i odkrycia. Jakże to rozkoszna musiała być taka podróż na przykład Kolumba po Atlantyku, Magellana po Oceanie Spokojnym, po morzach polarnych Parry'ego, Franklina, d'Urville'a i tylu innych. Nie mogę bez pewnego wzruszenia patrzeć na odjazd czy to zwykłego parowca, czy statku wojennego lub eskadry. Zdaje mi się, że stworzony zostałem na marynarza i prawie codziennie żałuję, że się od dzieciństwa nie poświęciłem temu zawodowi.

— Ale pan jednak odbywał wycieczki morskie?

— O tyle, o ile tylko nadarzyła się ku temu sposobność. Zwiedziłem nieco Morze Śródziemne poczynając od Gibraltaru aż do portów azjatyckich Lewantu, część Oceanu Atlantycznego aż do północnej Ameryki, dalej morza północnej Europy i znam prawie wszystkie większe lub mniejsze obszary wód wokół Anglii i Szkocji.

— I wydały się one panu wspaniałe?

— Niewątpliwie, miss Campbell, nie podobna nawet porównać tamtych z naszymi przestrzeniami archipelagu hebrydzkiego. Jest to prawdziwy archipelag, z niebem dużo jaśniejszym niż niebo wschodu, z poezją dużo piękniejszą niż wszystkie ich wody. Archipelag grecki stał się przytuliskiem wszystkich bogów i bogiń greckich. Zgadzałem się z tym. Ale pani to dobrze rozumie, że owe bóstwa były niezmiernie podobne do zwykłych mieszczan, bardzo pospolitych, obdarzonych zaledwie życiem materialnym, zarządzającym swe interesy i sprawy w sposób bardzo ludzki. Wedle mego zdania Olimp przedstawia się mniej więcej jak bogaty salon, w którym zbierają się bogowie i boginie podobni zupełnie do ludzi, ponieważ ulegają ich wadom i ułomnościom. Tak nie jest na naszych Hebrydach. Jest to miejsce pobytu istot niezwykłych, niezmiernie. Bogowie skandynawscy to istoty nadnaturalne, eteryczne, trudne do określenia piórem lub pędzlem. Taki na przykład Odyn, Osjan lub Fingal są to wszystko duchy poetyckie zaczerpnięte z odwiecznej tradycji sag. Jakże cudowne są te istoty pojawiające się w mgłach morz północnych, pod biegunami, pośród nieprzebytych lodów i śniegów! Oto Olimp prawdziwie boski, nie taki jak Olimp grecki. Ten nie obejmuje w sobie nic ziemskiego i jeżeli rzeczywiście wyznaczyć należy miejsce pobytu dla tych istot niezwykłych, to najodpowiedniejszym dla nich są nasze Hebrydy. Tak, miss Campbell, to tu właśnie przebywam, by wielbić to, co prawdziwie boskie, i jako prawowite dziecko starożytnej Kaledonii nie zamieniłbym naszego archipelagu, jego dwustu wysp, szarego nieba, burzliwych prądów ogrzewanych Golfstromem na wyspy wszystkich mórz Wschodu!

— O, rzeczywiście jest nam tu bardzo dobrze, nam mieszkańcom Highlands — odpowiedziała miss Campbell, niezmiernie zachwycona słowami młodego entuzjasty. — Ach, panie Sinclair, jestem jak pan zachwycona naszym archipelagiem. Jest wspaniały i kocham nawet wściekłość jego burz.

— Bo rzeczywiście wspaniałości jego nic dorównać nie jest zdolne. To on sąsiaduje z wodami oceanu amerykańskiego, to po jego wodach przepływają wichry i huragany, to on jak bohater, niespożyty przez wieki, powstrzymuje swymi piersiami pierwsze fale, pierwsze szturmy przychodzące ku Europie. Lecz cóż może być dzielniejszego nad Hebridy, jak mówi Livingstone, który nie lękał się lwów, a bał się oceanu, od tych wysepek, rozsypanych na granitowej podstawie, z uśmiechem przyjmujących szalejące nawałnice morza.

— Morze... Połączenie chemiczne tlenu z wodorem, z dwoma i pół procentami chloru sodu. Nic piękniejszego, rzeczywiście, jak gwałtowne poruszenia chlorku sodu.

Miss Campbell i Olivier odwrócili się, słysząc te słowa, bez wątpienia wymówione do nich i jako odpowiedź na ich entuzjastyczne pochwały.

Na pomoście stał Arystobul Ursiclos.

Wiedząc, że Olivier będzie towarzyszył miss Campbell na Ionie, nie mógł się oprzeć chęci wyjazdu z Oban tym samym rejsem. Przesiedział cały czas w kajucie i dopiero teraz pojawił się na pokładzie.

Gwałtowność chlorku sodu! Jakież to cios zadany rozmarzeniom Oliviera Sinclaira i miss Campbell!

XIV. ŻYCIE NA WYSPIE IONIE

Tymczasem wyspa Iona, która niegdyś nosiła nazwę wyspy fal, ukazała przede wszystkim swoje szczyty ze starożytnym opactwem i powoli zarysowywała się we mgle morza, bowiem statek coraz bardziej się do niej przybliżał.

Okolo południa Pioneer przycumował do nabrzeża z grubo ciosanych głazów, całych zielonych od wody. Pasażerowie wysiedli, jedni, aby po chwilowym pobycie powrócić do Oban, drudzy, w tym nasi znajomi, by jakiś czas przemieszkiwać na Ionie.

Wyspa nie posiada portu we właściwym tego słowa znaczeniu. Kamienne molo broni jedną z zatoczek przed falami morza i to wszystko. To właśnie tu w czasie lata zatrzymywały się jachty i szalupy przybywające z podróżnymi szukającymi przyjemności.

Miss Campbell i jej towarzysze pozostawili resztę pasażerów, którzy wedle programu mieli tu zabawić dwie lub trzy godziny, i udali się w głąb wyspy celem poszukania odpowiedniego mieszkania.

Nie podobna wymagać na wyspie tych wygod, jakie znaleźć można we wszystkich miastach kąpielowych Zjednoczonego Królestwa.

Faktycznie Iona ma nie więcej niż trzy mile długości i milę szerokości i liczy zaledwie pięćset mieszkańców. Księżę Argyle, do którego należała, pobierał z niej rocznego dochodu zaledwie kilkaset liwrów. Nie było tu ani miast, ani miasteczek w całym znaczeniu tego słowa, ani nawet wsi. Kilka domów rozrzuconych tu i ówdzie, może nawet malowniczych, ale zbudowanych w prymitywnym stylu, prawie wszystkie bez okien, oświetlone jedynie przez drzwi, bez kominów, z dziurami w dachu, z murami z mierzwy i otoczków, z dachami uwitymi z trzciny i wrzosu, spajanych wstęgami wodorostów.

Któż by przypuszczał, że od najwcześniejszych wieków historii Skandynawii Iona była kolebką religii druidów? Któż by wyobraził sobie, że po nich w szóstym wieku święty Kolumban, chcąc ugruntować wiarę chrześcijańską, zbudował tu pierwszy klasztor, w którym zamieszkiwali mnisi z Cluny aż do czasów reformacji? Gdzie obecnie szukać owych olbrzymich budynków, które były niczym seminaria biskupie i wielkie opactwa Zjednoczonego Królestwa? Gdzie pomiędzy ruinami odnaleźć ową bibliotekę, bogate archiwa przeszłości, zawierające manuskrypty dotyczące historii rzymskiej, gdzie studiowali je uczeni ludzie owych czasów?

Teraz nie ma tu nic oprócz ruin, choć wiadomo, że krzewiła się cywilizacja, która przekształciła zupełnie północ Europy.

Z dawnych czasów świętego Kolumbana pozostała jedynie wyspa Iona, z kilkoma wieśniakami, którzy w pocie czoła uprawiali piaszczystą ziemię, siali jęczmień, sadzili kartofle i żyto, oraz paru rybaków zajmujących się połowem ryb na wodach Małych Hebrydów.

— Miss Campbell — rzekł pogardliwym tonem Arystobul Ursiclos — na pierwszy rzut oka, czy uważasz pani, że tu lepiej niż było w Oban?

— Dużo lepiej — odpowiedziała miss Campbell, myśląc zapewne o tym, że jest jednym więcej mieszkańcem na wyspie wcale dla niej nie przydatnym.

Bracia Melvill zamiast hotelu wybrali rodzaj oberży, dość znośnej, w której zatrzymywali się turyści przybywający, by zwiedzić ruiny z czasów druidów i chrześcijan. Zatem tego samego dnia ulokowali się w zajeździe „Pod bronią Duncana”, gdy tymczasem Arystobul Ursiclos i Olivier Sinclair pomieścili się każdy z osobna w chatach rybaków.

Takie jednak szczęśliwe usposobienie miała miss Campbell, że w swoim małym pokoiku, przy wąskim okienku czuła się dużo szczęśliwsza niż na tarasie wysokiej wieży w Helensburgh, bardziej niż w hotelu Caledonia, który niedawno opuściła. Tutaj był szeroko otwierający się widok na morze, żadna wyspa nie przerywała horyzontu i gdyby można było dostrzec, widziałaby o trzy tysiące mil stąd brzegi Ameryki po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego. Rzeczywiście tu słońce miało zupełnie swobodne pole i zachodziło z całą swobodą.

Wspólne życie zorganizowano prosto i łatwo. Obiad jedzono wspólnie w wielkiej izbie zajazdu. Stosownie do dawnego obyczaju pani Bess i Partridge siadali razem z państwem do stołu. Możliwe, że Arystobul Ursiclos uważał to za dość dziwne, ale podobało się to Olivierowi Sinclairowi. Już nawet odczuwał pewien szacunek dla tej pary wiernych sług.

Czyli jednym słowem, cała rodzina prowadziła życie wedle obrządków i zwyczajów prawdziwie szkockich. Po odbyciu przechadzki w głąb wyspy, po rozmowie o rozmaitych dawnych zwyczajach przeszłości, do której Arystobul Ursiclos nie zaniedbywał domieszać swych nowomodnych uwag, spotykano się razem w porze obiadu, zaś o ósmej wieczorem zbierano się na kolację.

Następnie miss Campbell przypatrywała się zachodowi słońca, nawet wówczas, gdy niebo zasłaniały chmury. Któż wie! Mogła się znaleźć jakaś dziura, jakiś otwór u dołu pokrywy chmur, jakaś szczelina, jakaś drobna rysa, przez które przecisnę się promień zachodzącego słońca.

A jakież odbywały się uczyty!

Prawdziwy Kaledończyk nie mógłby nic zarzucić tym zupom na sposób Oldbucka Antykwariusza, ani potrawom przyrządzanym podług Fergusa MacGregora, jednym słowem, były to potrawy sporządzane starożytnym, odwiecznym obyczajem szkockim. Pani Bess i Partridge tym sposobem przenosili się w dawne wieki i żyli wspomnieniami starożytności przynajmniej przez kilka godzin. Bracia Sam i Sib z wyraźną przyjemnością przyjmowali obecność dań niegdyś ulubionych w ich rodzinie.

Oto w jaki sposób odbywały się uczyty i w jaki to mianowicie kłopot wprowadziłyby niejednego nazwy dawniejszych potraw.

— Racz pan spróbować nieco tych *cakes* (ciastka z owsianek mąki), dużo smaczniejsze niż ciastka w Glasgow.

— A może cokolwiek tych *sowens* (potrawy z jęczmienia na kwaśno), którymi jeszcze dzisiaj raczą się mieszkańcy Highlands?

— Jeszcze tych *haggis* (rodzaj kielbasek), o których nasz znakomity Burns wspomina w swoich poematach, że to pierwsza, najlepsza potrawa, prawdziwie szkockie danie.

Tak więc „Pod bronią Duncana” jedzono wybornie, dzięki zaopatrzeniu dostarczane-mu co drugi dzień przez pływające wokół Hebrydów parowce. A pito równie dobrze.

Trzeba było wówczas widzieć wujów, jak przepijali zdrowie ogromnymi, mieszczącymi cztery kwarty, kufłami, w których pienił się krajowy napitek *usquebaugh*¹³, czyli najwyborniejszy *hummock*, warzony specjalnie dla nich! Zaś robiona z jęczmienia whisky fermentowała nawet w żołądku pijącego. A kiedy zabrakło już mocnego piwa, przedstawano na zwyczajnym *mum*, destylowanym z pszenicy, nawet jeśli miało to być tylko

¹³*usquebaugh* (z gaelickiego *uisge beatha*, dosł.: woda życia) — daw. szkockie i irlandzkie określenie mocnej wódki ze zboża i siodu jęczmiennego, od którego wywodzi się obecne whisky. [przypis edytorski]

„dwupensowe”, które zawsze można wzmocnić kieliszeczkiem ginu. Z takimi napitkami nie żalowali ani sherry, ani porto z piwnic Helensburgh i Glasgow.

Choć Arystobul Ursiclos, przyzwyczajony do nowoczesnych udogodnień, ustawicznie się skarżył, to nikt nie zwracał na to uwagi.

Miss Campbell wiodła na tej wyspie życie bardzo przyjemne i wcale się nie nudziła.

Iona nie była zbyt rozległą wyspą, ale gdy ktoś lubi spacerować, czy koniecznie potrzebuje do tego wielkiej przestrzeni? Czy cały królewski park nie może zmieścić się w kącie ogrodu? Spacerowano tedy. Olivier Sinclair tu i ówdzie robił szkice, miss Campbell przypatrywała się ciekawie pracy malarza i czas mijał niespostrzeżenie. Życie tu płynęło trochę samotnie i dziko, ale miało niezaprzeczone powaby.

Miss Campbell uszczęśliwiona, że może przypatrywać się zbierającym się grupkom turystów i kuracjuszy, jakby znajdowała się dotąd jeszcze w parku Helensburgh, okrywszy się rodzajem obszernego płaszcza *rokelay*, w którym tak do twarzy każdej młodej Szkotce, odbywała nieustanne wycieczki.

Olivier Sinclaire podczas tych wycieczek miał sposobność uwielbiania jej czarownej postaci, jej ruchów, jej osoby obdarzonej niewątpliwie bardzo pięknymi przymiotami.

Czasami znowu, gdy wieczór minął już na daremnym wyczekiwaniu, miss Campbell i Olivier Sinclair zwiedzali jakąś tajemniczą grotę wyspy, oświetloną promieniami księżyca. Wówczas to bracia Melvill uniesieni zachwytem deklamowali wiersze swych ulubionych poetów albo też znakomite ustępy starożytnego barda, nieszczęśliwego syna Fingala:

„Gwiazdo, towarzyszko nocy, której głowa ubrylantowana wydobywa się z chmur, które znaczą ślady twoje majestatyczne na lazurze firmamentu, cóż widzisz na tej całej przestrzeni?

Zamilkły gwałtowne podmuchy wiatru, szalejącego we dnie; fale ułagodzone spoczęły u stóp skały; wieczorne muszki odbiegły daleko i szybko na swych skrzydłach, napędzając swem brzęczeniem ciszę nieba.

Gwiazdo płonąca tysiącami światel, czego upatrujesz w przestrzeni? Ale teraz widzę cię już zniżającą się z uśmiechem na brzeżkach horyzontu. Żegnam, cię, żegnam, gwiazdo milczenia!”¹⁴

Potem milkli i wszyscy powracali do pokoiku w oberży.

Ponieważ bracia byli sprytni i przewidujący, widzieli, że Arystobul Ursiclos o tyle tracił u miss Campbell, o ile z każdą chwilą zyskiwał Olivier Sinclair. Obaj młodzi ludzie unikali się nawzajem, jak tylko mogli. Lecz mimo to bracia starali się zbliżyć do siebie nieprzyjaciół, i byłiby szczęśliwi, widząc, że Ursiclos i Sinclair szukają nawzajem swego towarzystwa, zamiast się unikać i zachowywać w obecności drugiego pogardliwe milczenie. Czyżby bracia Melvill sądzili, że wszyscy ludzie uważają innych za braci i to takich braci, jakimi oni byli dla siebie?

Tak zręcznie manewrowali, że nareszcie na 30 sierpnia uzgodniona została wspólna wycieczka do ruin katedry, klasztoru i cmentarza, znajdujących się po północno-wschodniej i południowej stronie wzgórza opactwa.

Na takiej wycieczce, trwającej najwyżej dwie godziny, nowo przybyli goście jeszcze nie byli.

Było to brak przyzwoitości wobec cieni zakonników, którzy niegdyś zamieszkiwali chatki wzdłuż wybrzeża, oraz brak szacunku dla pamięci znakomych zmarłych z królewskich rodów od Fergususa II aż do Macbetha.

XV. RUINY NA IONIE

Tegoż samego dnia miss Campbell, bracia Melvill i dwaj młodzi ludzie udali się tam natychmiast po skonsumowaniu śniadania. Dzień był przecudny, jak to zdarza się nieraz podczas jesieni. Nieomal na każdym kroku spotykano ślady minionej przeszłości, już to ruiny, już to rozproszone tu i ówdzie domy.

¹⁴Gwiazdo, towarzyszko nocy... — strofy tej cudownej poetyckiej pieśni króla bardów przesłicznie oddał w swych dziełach nasz niezapomnianej pamięci Ignacy Krasicki, biskup warmiński, zamieściwszy cały przekład pod tytułem *Pieśni Ossyana*. Tłumaczeniem ich zajmowali się i inni autorzy, jak lord Byron i francuski poeta Alfred de Musset, który zaczyna od słów: „*Pâle étoile du soir, messagère lointaine, / Dont le front sort brillant des voiles du couchant... / Que regardes-tu dans la plaine?*”. [przypis redakcyjny]

Morze, oświetlone promieniami słońca wydobywającego się co chwila spośród zasłaniających je chmur, miało dziwną barwę i swym widokiem dodawało całej okolicy niezwyklej powagi.

Nie był to dzień przeznaczony na wycieczki dla turystów, tym sposobem nasi nowi goście byli w zupełnym posiadaniu całej wyspy i mogli swobodnie przypatrzeć się wszystkiemu.

Droga była bardzo wesoła. Dobry humor braci Sama i Siba udzielił się całemu towarzystwu. Rozmawiano tedy, biegano tu i ówdzie, zwiedzano zakątki i rozpraszano się po krzyżujących się ścieżkach w załomach skał.

Nagle ogólną uwagę zwrócił monolit Mac Leana. Był to precudny obelisk, z czerwonego granitu, wysoki na czternaście stóp, tak że panował nad całym traktem prowadzącym do Main Street i stanowił jedyną resztkę z trzystu sześćdziesięciu krzyży, jakie znajdowały się na wyspie aż do epoki reformacji, około połowy XVI wieku.

Olivier Sinclair bardzo naturalnie postanowił naszkicować monolit w swoim albumie, jakoż zasiadł zaraz do roboty, a wokół niego zgrupowało się całe towarzystwo.

Minęło kilka chwil, kiedy wszyscy dostrzegli, że w pewnym oddaleniu rysuje się postać jakiegoś człowieka, który z trudnością wdiera się na szczyty skał.

— Doskonale — odezwał się Olivier — cóż tu sprowadziło tego intruza? Gdyby przynajmniej włożył na siebie suknię mnicha, nie odcinałby się rażąco od krajobrazu, a nawet jako pedant umieściłbym go na moim szkicu.

— To zwykły podróżny, który przychodzi rozwiązać nasze uroki, panie Sinclair — odrzekła miss Campbell.

— A czy czasem ten jegomość to nie Arystobul Ursiclos? — wykrzyknął brat Sam.

— To on, niewątpliwie — dodał brat Sib.

Rzeczywiście był to Arystobul Ursiclos. Dotarłszy do monolitu, zaczął uderzać w niego olbrzymim młotem.

Miss Campbell, niezmiernie rozgniewana tym dziwnym zachowaniem młodego geonealoga, podeszła ku niemu.

— Co to pan robi? — spytała.

— Wszak widzi pani, miss Campbell — odpowiedział Arystobul Ursiclos, zamierzając się młotem — staram się odłamać kawał granitu z obelisku.

— Ale do czego prowadzi ta mania? Zdaje mi się, że czasy niszczycieli posągów już dawno przeminęły.

— Nie jestem wcale ikonoklastą — odparł zarozumiale Arystobul Ursiclos — ale geologiem i jako taki pragnę zbadać naturę tego kamienia.

Ostatnie uderzenie młotem zakończyło rozmowę, bowiem wielki złom granitu potoczył się pod stopy rozmawiających.

Arystobul podniósł go, a uzbrojony w szkło powiększające zaczął mu się bacznie przypatrywać.

— Właśnie tak myślałem — rzekł. — Oto czerwony granit, nadzwyczaj zwarty, nadzwyczaj silny i z ziarnistym przełomem, jaki najczęściej znajduje się na Nuns' Island, zupełnie podobny do granitu używanego do budowy w dwunastym wieku. To właśnie z niego zbudowana została katedra na Ionie.

Arystobul Ursiclos prawił bardzo pompatycznie, tak że wkrótce zbliżyli się do niego i bracia Melvill, pragnąc skorzystać z wykładów geologicznych.

Miss Campbell natomiast powróciła do pracującego malarza i po ukończeniu przez niego szkicu wszyscy zwrócili się do dziedzińca otaczającego dokoła gmach katedry.

Budowla ta była podwójna, złożona z dwóch połączonych ze sobą świątyń, której ściany mocne jak mury fortecy i pilastry potężne jak złomy skał opierały się dzielnie zmianom meteorologicznym tutejszego klimatu.

Przez jakiś czas zwiedzający przechadzali się po pierwszej świątyni, romańskiej z kształtu łuków sklepienia i krzywizny arkad, potem przeszli do drugiej, zbudowanej w stylu gotyckim w XII wieku, tworzącej nawę i przedsień pierwszej.

Tym sposobem spacerowali po ruinach, badając każdą co do jej wiekowego pochodzenia, przebywali dalsze rozwaliny złożone z płyt kamiennych, wszystko to nacechowane odległą starożytnością.

W chwil kilka później odezwały się czyjeś kroki. Był to Arystobul Ursiclos, który na podobieństwo Komandora z salonów don Juana przechadzał się po skalistych złomach zalegających całą drogę do katedry.

Chodząc, mruczał dość głośno:

— Sto sześćdziesiąt stóp od zachodu — Przy czym liczbę tę notował w swoim notesie, następnie, mierząc krokami, przebył drugą część świątyni.

— A, to pan, panie Ursiclos! — rzekła ironicznie miss Campbell. — Na przemian jesteś pan to mineralogiem, to geometrą.

— A siedemdziesiąt stóp po przekątnej — dodał Arystobul Ursiclos, nie zwracając uwagi na pytanie miss Campbell.

— Ile cali? — zapytał Olivier Sinclair.

Arystobul Ursiclos spojrział na malarza takim wzrokiem, jakby w tym młodzieńcu widział człowieka nieznającego się zgoła na niczym, i nie raczył nawet odpowiedzieć.

Turyści po zwiedzeniu całej katedry przeszli następnie do znajdującej się obok kaplicy.

Tutaj we wschodniej części wznosił się posąg kobiety, ostatniej opatki tutejszej gminy chrześcijańskiej.

Miss Campbell, niezmiernie zachwycona delikatnością i artystycznością roboty, zawołała:

— Podobna do Madonny Sykstyńskiej Rafaela, ma nawet śmiejące się oczy!

Uwaga ta wywołała pogardliwy uśmiech na usta Arystobula, jakoż rzekł pompatycznie:

— Gdzie miss Campbell zauważyła ten wyraz śmiejących się oczu? To powszechnie popełniany błąd. Jak nas o tym nauczają badania najnowszej okulistyki, organy wzroku nie posiadają zdolności odbijania uczuć. Przykład zaraz przytoczę: oto założmy maskę na twarz i niech ktoś wówczas bada widoczne przez nią oczy, a niezawodnie nie będzie zdolny powiedzieć, czy ta twarz znajduje się pod wpływem wesołości czy gniewu.

— Doprawdy? — zapytał brat Sam, którego ta rozmowa niezmiernie zaciekała.

— Nie wiem wcale, czy to prawda — odparł brat Sib.

— Jest tak rzeczywiście i gdyby tu była maska...

Na nieszczęście młody pedant nie miał pod ręką maski i tym sposobem studium nie mogło się odbyć w sposób praktyczny.

Tymczasem Olivier Sinclair i miss Campbell odeszli dalej, nie słuchając wcale rozpraw zaognionego Ursiclosa.

Miejsce, gdzie się obecnie znajdowali, nosiło nazwę Relikwiarza Obana, na pamiątkę towarzysza świętego Kolumbana, który wznosił tu kaplicę, której ruiny wznosiły się pośrodku tego starożytnego cmentarza.

Okolica była przecudna.

Miejsce to uwiecznił Osjan w swoim poemacie, szczególnie w tej strofice:

„Przechodniu, stąpasz tutaj świętokradzką stopą po prochach spoczywających bohaterów. Śpiewaj sławę swych przodków, aby ich lekkie duchy otaczały cię dokoła!”

Miss Campbell i jej towarzysze patrzyli na te resztki wielkości z pewnym rodzajem świętej czci i poważania.

— Wołałabym zwiedzać te miejsca w nocy — odezwała się miss Campbell. — Widziałabym oczami wyobraźni pogrzeb Duncana. Doprawdy, panie Sinclair, nie uważa pan, że to najstosowniejsza chwila do przywołania geniusza strzegącego umarłych?

— Tak, miss Campbell, i jestem pewny — odpowiedział Olivier Sinclair — że pojawiłby się na nasze błagalne wezwanie.

— Jak to, miss Campbell, pani jeszcze wierzy w te średniowieczne bajki?! — wykrzyknął oburzony Ursiclos.

— Wierzę, bo jestem Szkotką.

— Ależ pani dobrze wie, że te widziadła istniały jedynie w fantazji poetów.

— A jednak podoba mi się w to wierzyć. Wierzę nie tylko w geniusze, ale we wszystkich domowe opiekuńcze duchy, w czarownice, w błakające się po ruinach Walkirie, te dziewice fatalnego przeznaczenia w mitologii skandynawskiej, które przenosiły padłych na placu boju bohaterów, w te wróżki opiewane pieśniami naszego poety Burnsa, jednym słowem, we wszystko, co stworzyła wyobraźnia ludu.

— Ależ miss Campbell, niech się pani zastanowi, czy myśli pani, że poeci przywiązywali do tego jakąś wartość?

— Bez wątpienia, bo poezja jest tworem natchnienia — dodał Olivier Sinclair.

— I pan także! — zawołał Arystobul Ursiclos. — Uważałem pana za malarza, nigdy za poetę.

— Malarstwo i poezja to dwie rodzone, nierozłączne siostry.

— Ależ to niepodobieństwo. Pan nie może wierzyć w mitologiczne brednie bardów, którzy zdobywali te obrazy we własnej wzburzonej wyobraźni.

— O, panie Ursiclos, racz pan oszczędzić to, co jest drogie każdemu Szkotowi — rzekł oburzony brat Sam.

— I zechciej posłuchać tej strofki — dodał brat Sib: „Lubię śpiew bardów. Zdaje mi się, że przeszłość opowiada głośno swe dzieje. Pieśń ich jest błogim uspokojeniem, jest rosą poranku i ożywczą mgłą wieczoru”.

— „Kiedy słońce rzuca swe przedłużone na ziemię promienie i kiedy błyszczą w dali okolicy niebieskawa powierzchnia spokojnie drzemiącego jeziora...” — dokończył brat Sam.

Niewątpliwie bracia byliby deklamowali jeszcze dalsze ustępy poematu, gdyby im Arystobul Ursiclos nagle nie przerwał:

— Czyście panowie kiedykolwiek widzieli choćby jednego z opisywanych tak szczytnie geniuszów? Nie, zapewne. Alboż go można widzieć, gdy nie istnieje w rzeczywistości.

— Mylisz się pan pod tym względem najfatalniej — rzekła miss Campbell — geniusze żyją w tradycji, jakby były prawdziwymi osobami, żyją nieśmiertelnie w poezji ludu. Widzi je oko mieszkańca, jak ślizgają się lekkim krokiem po wybrzeżach Szkocji, jak przemierzają ruiny, jak unoszą się tarczą nad ogniskami rodzin swego kraju, ale widok ten dostępny jest tylko dla wtajemniczonych, tak samo jak zielony promień nie jest dostępny dla profanów.

— O przeciwnie. Widok zielonego promienia jest tylko złudzeniem optycznym.

— Zabraniam panu dalej mówić — odezwała się miss Campbell.

— A ja jednak będę mówił. Ten ostatni promień słońca ślizgający się po powierzchni morza, jeżeli jest zielony, nie jest to jego wina, przeciwnie, promień ten jest naturalnej barwy słońca, ale zlany z odbiciem się światła zmienia swą barwę na zieloną. Jest to zatem tylko wynik katoptryki!

— Przestań pan...

— To całkiem naturalne, że czerwona barwa tarczy słońca znika, a oko nasze zachowuje tę barwę, i wreszcie zielony promień jest promieniem, a raczej kolorem dopełniającym czerwieni.

— Ach panie, pańskie dowodzenia fizyczne...

— Moje dowodzenia zgodne są z naturą rzeczy, miss Campbell, a nawet mam zamiar napisać o tym rozprawę.

— Chodźmy — zawołała miss Campbell — gdyż słuchając pana dłużej, stracę w końcu całą słodką iluzję.

Do rozmowy wdał się Olivier Sinclair.

— Panie — rzekł — rozprawa nad naturą zielonego promienia nie była zbyt ciekawa, ale podam panu inne, dużo ciekawsze tematy do rozpraw, jeżeli pan koniecznie chcesz je pisać.

— Jakież to? — zapytał Ursiclos, prostując się.

— Zapewne nie wie pan o tym, że wielu już uczonych łamało głowy nad wyjaśnieniem wpływu ogona ryby na poruszenia morza.

— Ależ, panie!

— A jeszcze ważniejsze zadanie zalecane najznakomitszym przedstawicielom nauk, a panu w szczególności, to: wpływ narzędzi atmosferycznych na formowanie się nawałnic i burz.

XVI. DWA STRZAŁY

Nazajutrz i w pierwszych dniach rozpoczynającego się września, Arystobula Ursiclosa nie było wcale widać. Czyżby zatem wyjechał z Iony razem z turystami, przekonawszy się

o daremności starań o rękę miss Campbell? Tego nikt nie mógł stanowczo stwierdzić. W każdym razie, bardzo dobrze zrobił, że się nie pokazał. Młoda dziewczyna nie tylko, że okazywała mu obojętność, ale doświadczała nawet pewnego rodzaju wstrętu. Odarł jej promień z poezji, zmaterializował marzenie, zmienił szarfę Walkirii w okropne zjawisko optyczne. Być może mogłaby mu wszystko przebaczyć, ale tego nigdy.

Jakoż bracia Melvill otrzymali surowy zakaz dowiadywania się, co się dzieje z Arystobulem Ursiclosem.

Dlaczego mieliby to uczynić? Wszak niepodobna, aby jeszcze myśleli, że ich upragnione zamiary urzeczywistnią się kiedykolwiek. Czy mogli przypuszczać, aby dwie istoty oddychające taką antypatią względem siebie połączyły się kiedykolwiek ściślejszym związkiem? Byli rozdzieleni prozą, gdy jedna z nich żywiła natchnienie prawdziwie poetyckie.

Tymczasem pani Bess oświadczyła Partridge'owi, że młody pedant wcale nie myślał opuścić wyspy, ale ukrył się tylko w swoim schronieniu w chacie rybaka.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Jeżeli Arystobul Ursiclos nie studiował natury praktycznie, to niewątpliwie rozmyślał nad podniosłymi kwestiami naukowymi we własnym domu. Czasami zaś wybiegał w pole z fuzją, czyniąc straszliwe spustoszenia między skrzydlatą rzeszą. Być może zaś, że żywił jeszcze jakąś nadzieję. Może nawet spodziewał się, że skoro miss Campbell zaspokoi pragnienie ujrzenia zielonego promienia, to niewątpliwie zmieni swoje dotychczasowe usposobienie względem niego.

Wszakże kilka dni później miał miejsce wypadek, który byłby się bardzo smutnie zakończył dla naszego młodego uczonego, gdyby Olivier Sinclair nie wdał się w to i nie uratował swego rywala.

Działo się to dnia 2 września po południu. Arystobul wyszedł celem studiowania skał zajmujących całą przestrzeń na południu Iony. Jego uwagę zwrócił szczególnie kamienista bryła zwana *stack*, postanowił nawet wdrzeć się na szczyt takowej.

W każdym razie był to krok całkiem nierozsądny, albowiem najeżona złomami skała uniemożliwiała dostęp.

Jednakże Arystobul nie zrażał sięomalże nieprzebytymi przeszkodami. Zaczął powoli się wdzierać i z pomocą rosnących tu i ówdzie krzaków zdołał się nareszcie dostać aż na sam wierzchołek *stacku*.

Znalazłszy się u celu wyprawy, oddał się z zamięłowaniem studiom meteorologicznym, kiedy zaś przyszło do schodzenia, zejście okazało się niemożliwe.

Badał rozmaite części skały i na każdym kroku znajdował niepokonaną zaporę. Nareszcie poślizgnął się i niezawodnie spadłby w odmęty płynącego tam strumienia, gdyby nie zatrzymała go gałąź wysokiego drzewa.

Tym sposobem zawieszony między niebem i ziemią, czekał, co dalej nastąpi, i co chwila donośnym głosem wołał o ratunek. W tej chwili przechodził Olivier. Ujrawszy uczonego w tak komicznej pozycji, zaczął się śmiać, ale w końcu, ulegając szlachetnemu popędowi, postanowił go uratować.

Ratunek był bardzo trudny, a nawet groził niebezpieczeństwem, jednak wreszcie po wielu usiłowaniach powiodło mu się sprowadzić naszego uczonego drugą stroną skały.

— Panie Sinclair — rzekł Arystobul, gdy już stał pewną nogą na gruncie — źle obliczyłem kąt zagięcia wąwozu, ponieważ on jest prawie prostopadły. Stąd też musiałem się poślizgnąć i upaść.

— Panie Ursiclos — odezwał się malarz — jestem bardzo uradowany, że miałem sposobność uwolnić pana z tak przykrego położenia.

— Pozwól mi pan sobie podziękować...

— Nie warto się nawet trudzić — rzekł malarz — spodziewam się tylko, że mi pan tak samo dopomożesz, gdy się kiedykolwiek znajdę w niebezpieczeństwie.

— Bez wątpienia.

— A zatem zamawiam sobie odwzajemnienie się.

I dwaj młodzieńcy rozstali się.

Olivier Sinclair nie uważał za stosowne opowiadać o tym wypadku, który uważał za nic nie znaczący. Co się tyczy Arystobula Ursiclosa, ten także milczał, czuł jednak pewną wdzięczność dla człowieka, który go uwolnił od niebezpieczeństwa.

A ów sławny promień? Trzeba wreszcie coś o nim powiedzieć. Każdy pragnął go widzieć, a nie było czasu do stracenia. Jesień niedługo pokryje niebo nieprzeniknionymi chmurami.

Wieczory już były bardzo smutne. Niebo nie przedstawiało się jak płachta lazuruwa. Doprawdy stan ten niezmiernie zmartwił tak miss Campbell, jak i Oliviera Sinclaira, dwoje zaciekle badaczy horyzontu.

Tym sposobem minęły cztery dni września, pogoda była fatalna.

Każdego wieczoru miss Campbell, Olivier Sinclair, pani Bess i Partridge oraz dwaj bracia Sam i Sib, usiadłszy na skale, nie spuszczała oka tak z powierzchni morza, jak i z niebieskiego namiotu rozpiętego nad ich głowami. Niestety, niebo nie przedstawiało żadnej nadziei. Rozchodzono się więc ze smutkiem, a przy pożegnaniu każdy wymawiał te słowa:

— Do jutra!

— Do jutra! — mówiła miss Campbell, a za nią powtarzali to samo dwaj bracia, dodając:

— Mamy przecucie, że to jutro będzie szczęśliwsze...

Każdego wieczoru bracia Melvill miewali dziwne przecucia, ale się dotąd ani jedno nie urzeczywistniło.

W końcu pewnego dnia wskazówka barometru, lawirująca dotąd między pogodą a niepogodą, zatrzymała się na napisie: „piękna pogoda”.

Niepodobna określić niepokoju, jakiemu podlegali wszyscy przez cały dzień. Z prawdziwą obawą, a nawet z bijącym sercem przypatrywano się horyzontowi, czy jakaś przypadkowa chmura nie zaćmi jego czystości.

Bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności powiał lekki wiaterek i zaczął przepędzać chmury, nie był jednak w stanie usunąć wyziewów powstających z morza w czasie wieczorów jesiennych.

Ile to dni trzeba było jeszcze oczekiwać, aby ostatecznie natrafić na chwilę bezwzględnej jasności lazuru nieba.

Wspomnianego właśnie dnia wszyscy pozostawali pod wpływem nadzwyczajnego wzruszenia. Bracia opróżnili z tabaki całą tabakierkę, a Olivier Sinclair nieustannie wybiegał na szczyt skały, aby się przekonać, czy nie nadciąga jakiś fatalny obłok.

Przyspieszono nawet podanie obiadu, goście siedli do stołu o piątej, by przybyć wcześniej na stanowisko i zacząć czuwać nad stanem nieba.

Słońce zachodziło dopiero o szóstej czterdzieści dziewięć, można było zatem badać je aż do ostatniej chwili.

— Jestem pewny — rzekł brat Sam, zacierając ręce — że nareszcie go zobaczymy.

— Ja żywię takie samo przekonanie — odpowiedział brat Sib.

Tymczasem około godziny trzeciej powstało na niebie coś podobnego do barankowej chmury i popychane wiatrem skierowało się w stronę oceanu.

Miss Campbell dostrzegła to pierwsza. Nie mogła powstrzymać się od okrzyku.

— To pojedyncza chmurka — odpowiedzieli wujowie — nie ma więc się czego obawiać.

— Płynie dużo prędzej niż słońce — dodał brat Sam. — Nie pozostanie więc w miejscu, rozplynie się w przestrzeni.

— Ależ przecież ta chmura nie jest skutkiem zbitych parowań — wyrzekła miss Campbell.

— Zobaczymy.

Olivier Sinclair szybko pomknął i dostał się aż na szczyty ruin klasztoru. Stąd dużo lepiej można było obserwować aż do granic wyspy Mull.

Powrócił po niejaki chwili, pocieszając, że prawdopodobnie nic się nie stanie, że chmura ta jest na niebie jedynie tylko zabłąkana, że niepodobna, aby mogła znaleźć oparcie w suchej atmosferze, więc niezawodnie zniknie.

Tymczasem chmura barankowa postępowała nieustannie. Ku wielkiej radości wszystkich dotąd nie zasłoniła słońca i jeżeli płynęła po niebie, to jedynie skutkiem podmuchu wiatru. Prześlizgując się tym sposobem w powietrzu, przybierała rozmaite kształty.

W początku będąc tylko niewielką plamką, wydłużyła się następnie w kształt ryby, z głową jakby psią. Po chwili zbiła się w masę, zmieniła w kulę, ciemną we środku, a jasną po bokach, i ostatecznie zajęła całą tarczę słoneczną.

Z piersi miss Campbell wydobył się krzyk, wyciągnęła ramiona ku niebu.

Gwiazda promienista spod niespodzianej zasłony rzucała tylko jeden pas światła ku wyspie. Wreszcie cień ustąpił i słońce pojawiło się w całym swoim blasku. Cień zniżył się ku horyzontowi. Po niejakej chwili zniknął, jakby zapadł się w jakąś otchłań na niebie.

— Na koniec zniknął — rzekła wesoło młoda dziewczyna — jeżeli znowu nie nadejdzie inna jakaś chmura.

— Niech pani będzie spokojna — odpowiedział Olivier. — Jeżeli ten obłok tak szybko zniknął, to najwyraźniej dowód, że nie spotkał na swej drodze żadnego innego wyziewu, czyli że cały zachód jest całkiem wolny od chmur.

O godzinie szóstej zebrani na stanowisku goście wpatrywali się w świetlaną tarczę słońca.

Nareszcie, nareszcie słońce coraz bardziej zapadało się. Na horyzoncie zarysowała się olbrzymia, majestatyczna kula, rozpalona do czerwoności, wysyłająca przy tym złotawe promienie.

Miss Campbell, Olivier Sinclair, bracia Melvill, a nawet pani Bess i Partridge pozostali milczący wobec tego uroczego zjawiska. Tarcza była zupełnie jasna, nigdzie nie pojawiła się ani jedna chmura.

— Sądzę, że tym razem go ujrzymy — powiedział brat Sam.

— I ja jestem tego pewny — dodał brat Sib.

— Zamilczcie, moi wujowie! — zawołała miss Campbell.

Zamilkli, powstrzymując nawet oddech, jak gdyby w obawie, żeby własny ich oddech nie zasłonił słońca.

Promienna gwiazda coraz bardziej się zniżała.

Wszyscy patrzyli, nie śmiejąc oddychać.

Na koniec już się utworzył rodzaj obróbka słonecznego, słońce zbliżyło się tak do powierzchni morza, że zdawało się, iż tonie w nim.

Nagle tuż między przybrzeżnymi skałami rozległy się strzały, ponad szczyty wznosił się dym. Powietrze, a raczej wietrzyk pochwycił go i popchnął dalej.

Zmienił się na koniec w lekką, ale czarną chmurę zasłaniającą słońce i tym sposobem dla widzów znikły promienie, jakie wysyłało.

W tej chwili na szczycie urwiska, z dymiącą bronią w dłoni, pojawił się nieuchronny Arystobul Ursiclos.

— A tego już dosyć! — zawołał brat Sib.

— Tęgo nawet zanadto — dodał brat Sam.

— Żałuję mocno, że go nie zostawił na skale — bąknął Olivier Sinclair.

Miss Campbell, zaciąwszy usta i zacisnąwszy pięści, nie wyrzekła ani jednego słowa.

Kolejny raz zatem z przyczyny niefortunnego Arystobula Ursiclosa stracili sposobność ujrzenia zielonego promienia!

XVII. NA POKŁADZIE CLORINDY

Nazajutrz o godzinie szóstej rano uroczy statek o ładunku od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu ton miał wypłynąć z przystani Iony. Była to Clorinda, która przy lekkim wietrzyku z wolna wysuwała się na świetlną powierzchnię morza.

Clorinda wiozła na swym pokładzie miss Campbell, Oliviera Sinclaira, brata Sama i brata Siba oraz panią Bess i Partridge'a.

Nie potrzebujemy dodawać, że między podróżnymi nie znajdował się zgoła Arystobul Ursiclos.

Oto co postanowiono po wypadku mającym miejsce poprzedniego dnia.

Miss Campbell, kierując się z powrotem do oberży, wyrzekła głosem krótkim, ale stanowczym:

— Moi wujowie, ponieważ pan Arystobul Ursiclos ma zamiar, jak uważam, dłużej pozostać na Ionie, nie przeszkadzajmy mu zupełnie. Już tyle wypłatał nam figłów, że jego obecność jest nam wcale nieużyteczna.

Na takie odezwanie się, bracia Melvill odpowiedzieli:

— Rzecz skończona, przecież nie zobowiązaliśmy się do niczego stanowczego.

Kiedy zaś wszyscy żegnali się przed drzwiami oberży „Pod bronią Duncana”, miss Campbell rzekła:

— Jutro odjeżdżamy, nie pozostanę tutaj dłużej ani jednego dnia.

— Postanowiono i będzie wykonane, moja droga Heleno — odparł brat Sam — ale dokąd się udajemy?

— Tam, gdzie nie potrzeba będzie spotykać się z panem Ursiclosem. Należy zatem miejsce naszego przyszedłego pobytu zachować w najściślejszej tajemnicy.

— Bardzo słusznie, ale dokąd masz zamiar wyruszyć?

Na szczęście przy rozmowie był obecny Olivier Sinclair, który w ten sposób odpowiedział na pytanie rzucone przez zakłopotanego wuja Sama:

— Miss Campbell, wszystko można urządzić w sposób zadowalający. Oto niedaleko stąd znajduje się mała wysepka, bardzo odpowiednia do naszych obserwacji, a jestem pewny, że nikt z obcych nie przerwie nam samotności.

— Gdzie jest?

— To wyspa Staffa, z której można widzieć na dwa tysiące mil.

— Czy jednak można tam żyć i przebywać bezpiecznie?

— Tak jest — odparł Olivier Sinclair. — W porcie Iony można ujrzeć elegancki jacht, gotowy wyruszyć na morze. Jego kapitan jest zawsze do dyspozycji chętnych turystów. Cóż nam zatem przeszkodzi jutro z brzaskiem poczynającego się dnia wyruszyć stąd?

— Panie Sinclair — rzekła miss Campbell — jeżeli jutro uda się nam stąd wymknąć bez czyjejkolwiek wiedzy, pozyskasz pan całą moją wdzięczność.

— Jutro, około południa, ponieważ potrzeba koniecznie odpowiedniego wiatru, będziemy już na Staffie — odpowiedział Olivier Sinclair — i ręczę, miss Campbell, że żaden obcy nie zamąci nam spokoju.

Idąc tedy za zwyczajem, bracia Melvill zawołali, wymieniając rozmaite nazwiska:

— Bet!

— Beth!

— Bess!

— Betsey!

— Betty!

Pani Bess pojawiła się natychmiast.

— Wyjeżdżamy jutro — wyrzekł brat Sam.

— Jutro o brzasku dnia — dodał brat Sib.

Nic nie odpowiedziawszy, pani Bess wraz z swym towarzyszem zajęła się przygotowaniami do podróży.

W tym czasie Olivier Sinclair udał się do portu w celu rozmówienia się z Johnem Olduckiem.

Był to kapitan okrętu.

Nazajutrz o godzinie szóstej pasażerowie rozlokowali się na pokładzie, zniesiono też odpowiednie zapasy i prowianty.

Tak więc z brzaskiem dnia miss Campbell znalazła się na bardzo gustownie urządzonych jachcie. Wszyscy byli niezmiernie uradowani, o podróży tej bowiem ani o jej kierunku i celu nikt zgoła nie wiedział.

Odległość pomiędzy dwoma wyspami była bardzo niewielka. Zresztą miss Campbell wcale się o to nie troszczyła. Clorinda wypłynęła z portu, a to jej wystarczyło. Za chwilę wyspa Iona znikła w mgle, a razem z nią nieprzyjemności, jakich tam doznała.

Rzekła tedy z całą szczerością do wujów:

— Czy nie mam słuszności, ojcie Samie?

— Zawsze, moja droga Heleno.

— Czy mama Sib zgadza się także?

— Zawsze, moja kochana.

— A zatem — odpowiedziała, całując ich obu — zgadzamy się, że pomysł, żeby wybrać mi takiego małżonka, nie był rozsądny.

Wróciła zatem wesołość.

O godzinie ósmej wszyscy zasiedli do śniadania w mesie Clorindy.

Kiedy miss Campbell powróciła na pokład, statek zmienił już kierunek. Zwrócił się ku znakomitej przystani, na której znajdowała się latarnia morska, a następnie bez przeszkód popłynął dalej.

Jacht płynął z nadzwyczajną szybkością wprost ku skalistej wyspie Staffie, zupełnie odosobnionej pośród morza. Zdawało się, że wysepka ta jest jakby przelotnym zjawiskiem na wielkich przestrzeniach wód oceanu.

Okolo godziny jedenastej statek powtórnie zmienił kierunek, żeglując teraz wciąż ku północy. Już się zarysowały w oddali szare bazaltowe brzegi. Jacht starannie omijał skaliste wybrzeża, wreszcie dotarł aż do małej zatoki blisko grotu Clam Shell, gdzie zwinięto żagle i opuszczono kotwicę.

W chwilę później miss Campbell wraz ze swoimi towarzyszami zeszła z pokładu i wspięła się po stopniach wyciętych w skale. Drewniane schody z barierką prowadziły dalej na górę klifu i w głąb wyspy, skorzystali z nich i dotarli na położony powyżej płaskowyż.

Więc to była nareszcie upragniona Staffa, z dala od wszelkich siedlisk ludzkich, jakby zostali wyrzuceni nawałnicą na bezludną wyspę Pacyfiku.

XVIII. STAFFA

Choć wysepka ta była odosobniona, natura jednak uczyniła ją najbardziej urozmaiconą spośród wszystkich wysp archipelagu hebrydzkiego. Ta wielka owalna skała, długości jednej mili, szeroka na pół mili, ukrywała w swoim wnętrzu przecudne grotty.

Były one następstwem krystalizowania się bazaltu we wczesnej epoce formowania się Ziemi. Zgodnie z wynikami badań Bischofa i Hemholtza nad krzepnięciem bazaltu topi się on w temperaturze dwóch tysięcy stopni, w takim razie jego ostygnięcie i stwardnienie trwało nie mniej jak trzysta pięćdziesiąt milionów lat. Epoka to zatem niezmiernie odległa, sięgająca formacji globu świata.

Gdyby się tu znajdował Arystobul Ursiclos, byłby niewątpliwie obdarował swych towarzyszy jakąś uczoną rozprawą dotyczącą fenomenów i zjawisk historii geologii. Ale był na nieszczęście daleko i miss Campbell wcale o nim nie myślała.

— Nie myślmy o nim wcale — wyrzekli bracia Melvill jednogłośnie.

— Ale jednak nie zapominajmy o celu, w jakim tu przybyliśmy — dodał Olivier Sinclair.

— A zatem chodźmy poszukać odpowiedniego stanowiska obserwacyjnego — wyrzekł brat Sam.

— Tak jest — dodała miss Campbell.

— Znajdziemy go, znajdziemy — wtrącił Olivier Sinclair, który się niezmiernie zajmował tym przedmiotem.

— Nie spieszy się bardzo — rzekła znowu Helena, zadowolona, że jest wolna od obecności natrętnego Arystobula. — Położenie tej wyspy jest urocze. Gdyby można było zbudować tu willę, sądzę, że zamieszkiwać ją należałoby do przyjemności, jakie trudno napotkać na stałym lądzie.

— Ale jednak pobyt na tym krańcu oceanu, zdaje mi się, byłby bardzo niebezpieczny.

— Rzeczywiście — odezwał się Sinclair. — Staffa jest wystawiona na nieustanne nawałnice i ataki wichrów, a nawet nie ma dostatecznego schronienia dla statków w porcie. Niepogody trwają tu przez ciąg blisko dziewięciu miesięcy.

— Otóż to, dlatego nie ma tu ani jednego drzewa. Cała roślinność ulega zniszczeniu.

— W każdym razie, dwumiesięczny pobyt na takiej wyspie byłby dość przyjemny — odpowiedziała miss Campbell. — Moglibyście kupić tę wyspę, moi wujowie, jeżeli tylko jest do nabycia.

— Do kogo ona należy? — zapytał brat Sam.

— Do rodziny Mac Donald — odpowiedział Olivier Sinclair. — Daje jej trzysta franków rocznie dochodu, ale sądzę, że nie ustąpiłoby Staffy za żadne pieniądze.

Tak rozmawiając, nowi goście przemierzali przestrzeń wyspy. Tego dnia nie było nikogo z turystów, ponieważ statki wcale nie odpływały; nasi podróżnicy nie mieli się zatem czego obawiać z tej strony. Oprócz kilkunastu małych koników pogryzających trawę i pewnej ilości trzody, której nie strzegł żaden pasterz, nie było żadnej innej żyjącej istoty.

Nie odnaleziono tu nawet żadnych śladów zamieszkiwania. Wprawdzie napotkano zrab jakiejś chaty, ale od dawna była zniszczona.

Tym sposobem podróżnicy musieli całą swoją uwagę wyteńczyć wyłącznie na horyzoncie. Tego dnia zdawało się, że słońce zajdzie spokojnie i bez chmury. Ale wnet jednak z tą ruchliwością, jaka odbywa się w zmianach na niebie w czasie jesieni, niebo pokryło się chmurami. Później kilka innych chmur nadciągnęło od zachodu.

Rozwiały się zatem wszelkie nadzieje.

Nazajutrz, to jest dnia 7 września, postanowiono zrobić bliższy przegląd wyspy. A mianowicie dzień ten przeznaczono na zbadanie groty Clam Shell, przed którą właśnie zarzucił kotwicę okręt Clorinda.

Grota była wysoka blisko na trzydzieści stóp, a szeroka na piętnaście, była głęboka, ale dostęp do niej był bardzo łatwy. Otwarta od strony wschodniej była zasłonięta od wichrów, tym sposobem nie wiały tu huragany, płynące od oceanu.

Miss Campbell niezmiernie ucieszyła się tymi odwiedzinami. Olivier Sinclair co do szczegółów geologicznych nie posiadał bez wątpienia tyle wiedzy, co Arystobul Ursiclos, ale potrafił stać się przyjemnym towarzyszem.

— Chciałabym mieć jakąś pamiątkę z naszej wizyty tutaj — odezwała się miss Campbell.

— Nic łatwiejszego — odparł Olivier.

I za kilkoma pociągnięciami ołówka zrobił szkic całej groty i skały rysującej się w mgłach wodnych Oceanu. Otwór groty podobny jest do olbrzymiego szkieletu, którego żebra stanowią stopnie schodów wiodących na sam szczyt skały. Całe te pokłady bazaltowe artysta oddał z niezrównaną wiernością.

Nareszcie u spodu swego rysunku zamieścił te słowa:

Olivier Sinclair, miss Campbell.

Staffa dnia 7 września 1881 roku.

Przechadzka odbywała się wesoło i w dalszym ciągu wizyt pasażerowie udali się do tak zwanej groty Bato, a to z tego powodu, że wewnątrz jej zajmuje woda morza, tak że niepodobna tam dostać się suchą nogą.

Leży ona w południowo-wschodniej stronie wyspy. Kiedy następuje przypływ, bardzo niebezpiecznie jest wchodzić do niej, ponieważ fale są nadzwyczaj kapryśne i gwałtowne.

Po dopełnieniu wizyty wszyscy turyści na nowo wydobyli się na płaskowyż Staffy.

Wyspa posiadała mnóstwo innych grot i jaskiń, powstałych już to skutkiem zmian atmosferycznych, już to skutkiem wylewu wód, już z samej natury. Do jednej z takowych, wytworzonych ogniem wulkanicznym, należała grota Fingala.

Otóż cały następny dzień poświęcono zbadaniu tego nadzwyczajnego zjawiska kuli ziemskiej.

XIX. GROTA FINGALA

Gdyby kapitan Clorindy znajdował się od dwudziesta czterech godzin w jednym z portów Zjednoczonego Królestwa, niechybnie byłby otrzymał sprawozdanie meteorologiczne niezmiernie niepokojące dla tych, którzy udawali się w podróż na wody Morza Atlantyckiego.

Otóż tedy zawiadomiono z Nowego Yorku o zbliżających się nawałnicach. Przebywszy Ocean w stronie od zachodu do północy, groziły one wyrzuceniem na brzegi Irlandii lub Szkocji lub zapędzeniem na wody Norwegii.

Tymczasem barometr statku zapowiadał również spodziewaną burzę, o którą troszczyć się zawsze każdy z marynarzy, dbających o własne bezpieczeństwo.

Tym sposobem kapitan John Olduck, niezmiernie zaniepokojony, udał się w dniu 8 września na skaliste szczyty Staffy, aby tam czynić spostrzeżenia nad stanem powietrza.

Już z wielką szybkością wicher przeganiał chmury po nieboskłonie. Wicher, początkowo niewielkiej siły, zapowiadał zbliżający się huragan; fale z wielkim impetem i hukiem odbijały się od bazaltowych brzegów.

John Olduck uczył się wiece zaniepokojony. Wprawdzie Clorinda znajdowała się w dość bezpiecznym schronieniu, ale jednak port nie ten był odpowiednim miejscem

nawet dla statków mniejszej objętości. Morze napęłniała coraz bardziej piana, fale z trzaskiem rozbijały się o wystające nad brzegami złomy skały.

Kiedy powrócił na pokład, oświadczył pasażerom, że należy odpływać, ponieważ gdyby się spóźnili, okręt mógłby zostać zapędzony daleko od Staffy aż na wyspę Mull. Tam właśnie w najgorszym razie, ale przy spokojnym stanie morza, należałoby szukać schronienia przed burzą, uprzedziwszy takową.

— Jak to? Oddalić się z wyspy? Pozostawić tutaj wszelkie nadzieje ujrzenia jasnego horyzontu?

— Sądzę, że byłoby bardzo niebezpiecznie pozostać na kotwicy blisko groty Glam Shell — odpowiedział John Olduck.

— Jeżeli tego potrzeba — wtrącił Sam.

— Tak jest, potrzeba — dodał Sib.

Olivier, widząc na twarzy miss Campbell nieprzyjemne wrażenie wywołane tak niespodziewaną wiadomością, odezwał się do kapitana:

— Jak pan myśli, jak długo może trwać nawałnica?

— Dwa lub trzy dni najwyżej, szczególnie w tej porze roku.

— I uważa pan nieodwołalny odjazd okrętu za konieczny?

— Konieczny i nagły.

— Jaki ma pan plan?

— Wypłynąć stąd jeszcze dziś. Korzystając z obecnego wiatru, dostaniemy się bardzo łatwo do Achnagraig, a następnie powrócimy tutaj gdy już przeminie burza.

— Dlaczego nie wrócić na Ionę, dokąd moglibyśmy dostać się za godzinę? — rzekł Sam.

— Nie, nie, nie na Ionę! — zawołała miss Campbell, której natychmiast zarysowała się przed oczyma występna postać Arystobuła.

— W porcie Iony tak samo jak tutaj nie będziemy wcale bezpieczni — rzekł kapitan.

— A zatem jedź pan natychmiast, a nas pozostaw na Staffie! — zawołał Olivier Sinclair.

— Na Staffie? Przecież tu nawet nie ma żadnego domu do schronienia się!

— Grota Clam Shell wystarczy nam przez kilka dni — odparł Olivier. — Mamy dostateczną ilość zapasów i nie potrzebujemy obawiać się głodu.

— Tak, tak — dodała miss Campbell — niech pan płynie, kapitanie. Będziemy tutaj jak rozbitkowie, jak Robinsonowie. Przez czas pańskiej nieobecności będziemy z utęsknieniem oczekiwać na przybycie Clorindy.

— Ależ... — rzekł po chwili brat Sam z pewnym niepokojem.

— Zdaje mi się moi, wujowie, że potrafisz was całkowicie uspokoić — odpowiedziała na to miss Campbell.

Po czym całując każdego z kolei.

— To dla was i spodziewam się, że nie macie mi nic do zarzucenia.

Była niezmiernie wdzięczna Olivierowi za podsuniecie tak fantastycznego projektu.

Postanowiono zatem, że majtkowie zniosą z pokładu to, co było potrzebne dla pozostających na wyspie. Tym sposobem Clam Shell przekształcono w dość wygodny Melvill House. Było tu dużo wygodniej niż w oberży na Ionie. Kucharz oświadczył, że znajdzie sobie odpowiednie pomieszczenie w celu pełnienia swoich obowiązków.

Następnie, otrzymawszy od kapitana małą łódkę do swej dyspozycji, wszyscy opuścili statek.

Po odjeździe kapitana całe towarzystwo gotowało się do dalszej wycieczki.

Opuścili tedy grotę Clam Shell i udali się ścieżką prowadzącą ku północnej stronie wysepki. Skały, po których się wdzierali, przypominały bardzo wygodne i mocne schody, jakby naturalnie wyrobione w pokładach granitu. Spacer ten niezmiernie był przyjemny, podróżni mieli przed sobą cudowny krajobraz i wielki płat wody niby odłam morza, którego powierzchnia błyszczała z dala wszystkimi kolorami tęczy.

Przybywszy na sam kraniec wyspy, Olivier Sinclair nagle ukazał miss Campbell po lewej ręce pewien rodzaj niewielkiego przejścia lub raczej pewien rodzaj naturalnej ławeczki, która ciągnęła się aż do otworów groty. Rodzaj schodów i przy tym utworzonej z sąsiadujących ścian skały wybornie służył do bezpiecznego przejścia.

— Ach, te schody — odezwała się miss Campbell — psują mi nieco efekt pałacu sławnego Fingala.

— Bo też rzeczywiście są wykonane ludzką ręką.

— Jeżeli jednak są użyteczne... — wtrącił brat Sib.

— Przecież możemy po nich wchodzić bardzo wygodnie — dodał brat Sam.

Po dostaniu się do grotty podróżni zatrzymali się, by zaciągnąć rady przewodnika.

Przed ich wzrokiem rozpościerał się pewien gatunek nawy pełnej tajemniczości. Otwór między oboma ścianami skały, czyli raczej grotty Fingala, wynosił na szerokość blisko trzydzieści cztery stopy. Po prawej i po lewej ręce stały bazaltowe pilastry, przyciśnięte jeden do drugiego, okrywające tym sposobem jak w wielu świątyniach z dawnych czasów widok znajdujących się po za nimi murów. Na tych pilastrach wspierało się olbrzymie sklepienie, które obejmowało przestrzeń blisko pięćdziesięciu stóp nad powierzchnią morza.

Miss Campbell i jej towarzysze, oczarowani tym pierwszym widokiem, pogrążyli się w zadumie, idąc dalej drogą wyrobioną przez naturę na całej długości grotty.

Tu w największym porządku ciągnęły się kolumny pryzmatyczne, nierównej objętości, podobne do skryształizowanych przypadkiem złomów. Wyciągnięte w linię geometryczną okazywały cały przepych swych naturalnych ornamentów. Styl całej tej cudownej budowy natury przedstawiał załomy i zręby prawdziwie artystyczne, ścisłości iście matematycznej.

Dochodzące z zewnątrz światło oświetlało wszystko niezrównanym blaskiem. Odbite w kryształach wód darzyło obrazami wnętrza morza, cudownie rysując kontury budowli, będącej zadziwiającym zjawiskiem!

Panował tu niczym niezamącony spokój i cisza naprawdę grobowa. Jedyne tylko lekkie podmuchy wiatru odbijając się w akustycznie ułożonych załomach, wydawały lekkie, ale bolesne jęki i westchnienia.

— Jak zachwycające jest to wszystko, jak genialne marzenia nasuwają się tutaj oczom widza! — zawołał Olivier Sinclair.

— Bez wątpienia, ale jak mówi Osjan: „Kiedy moje uszy słyszą pieśni bardów, serce moje drży, jak gdybym słyszał historię o swoich przodkach. Harfa nie odezwie się więcej w lasach Seboral!” — wyrzekł brat Sam, deklamując.

— Tak jest — dodał brat Sib: — „Pałac obecnie jest pusty i echo nie odbija już pieśni starożytnej”.

Głębokość całej grotty wynosi ogółem sto pięćdziesiąt stóp. W samym jej końcu otworzony załom przedstawia do złudzenia jakby prawdziwe organy.

Tutaj właśnie podróżni postanowili zatrzymać się na chwilę.

Z tego punktu rozwija się perspektywa na cały strop nieba. Wszyscy uniesieni szczytnym krajobrazem byli niezdolni sformułować tych wrażeń, jakich doznawali.

Na koniec wyrzekła miss Campbell.

— Jakież to pałac cudów i ten, kto twierdził, że Bóg utworzył tę grotę na miejsce pobytu dla sylfów i ondyn morskich, miał pojęcie niezmiernie prozaiczne. Dla kogoż tedy drżało powietrze, w tym jęku, w tej pieśni, podobnej do pieśni wychodzącej z piersi natchnionego człowieka? Skąd powstała ta urocza prawdziwa harfa eolska! Czyż Waverley nie słyszał owej muzyki ukrytych duchów, wielkiego poematu stworzonego przez naturę?

— Rzeczywiście — odparł Olivier — Walter Scott tworząc swego Waverleya i kładąc mu w usta zachwyt, myślał o pałacu Fingala.

— Tutaj właśnie chciałabym wywołać ducha wielkiego poety — rzekła młoda dziewczyna. — Dlaczegożby niewidzialni bardowie po przebyciu snu piętnastu wieków nie mieli pojawić się na moje wezwanie? Lubię myśleć, jak ten nieszczęśliwy, oślepiiony jak Homer, poeta jak on, śpiewał wielką epopeję swojego wieku, jak tylokrotnie szukał schronienia w tym zamku, który nosił imię jego ojca. Tutaj bez wątpienia echo Fingala powtarzało niejednokrotnie poetyckie zwroty tej cudownej pieśni, jakiej nie ma równej język gaelicki. Czy nie przypuszcza pan, panie Sinclair, że Osjan niegdyś siadywał na tym samym miejscu, gdzie my znajdujemy się obecnie? I że dźwięk jego uroczej harfy mieszał się z sykiem fal morskich?

— Jakżebym nie miał wierzyć w to wszystko, o czym pani mówisz z takim głębokim przekonaniem?

— Jeżeli go zatem przywołam? — szepnęła nagle miss Campbell.

I głosem dźwięcznym powtórzyła po wielokroć imię wielkiego geniusza Kaledonii.

Echa trzykrotnie odbiły jej głos, ale... duch wielkiego Osjana wcale nie się zjawił.

Tymczasem słońce z wolna schyliło się do zachodu i grube cienie napęłniły wnętrza groty; zwiedzający zatem zajęli miejsce na ławce pokładu, najmniej przystępnej dla fal.

Od dwóch godzin już dawała się czuć jakaś zmiana w powietrzu grożąca niepogodą. Wicher zamienił się w prawdziwy huragan. Ale miss Campbell i jej towarzysze, należycie osłonięci złomami bazaltowymi, mogli bezpiecznie przedostać się do groty Clam Shell.

Nazajutrz przy nowym opadnięciu barometru wicher powiał z większą jeszcze gwałtownością. Chmury bardziej czarne i gęste, zapęłniły całą przestrzeń nieba. Jeszcze nie spadły krople deszczu, ale można się było spodziewać, że wkrótce zaryczy szalona nawałnica.

Miss Campbell nie gniewała się wcale, że nastąpiła tak raptowna zmiana atmosfery.

Pobyty na bezludnej wyspie pośród walki ścierających się żywiołów przypadał do jej namiętnego usposobienia. Jak prawdziwa bohaterka Waltera Scotta błąkała się nieustannie między skałami Staffy, pochwycona wrażeniem poetycznym, uniesiona natchnieniem dla tej natury tak wspaniałej, tak uroczej, wszyscy uszanowali jej osamotnienie.

Kilkakrotnie jakby pod wpływem niczym nieprzepartego uroku powracała do groty Fingala. Tutaj, rozmarzona, spędzała w milczeniu całe godziny i nie zwracała wcale uwagi na przestrogi, a nawet prośby, aby nie zapuszczała się zbyt daleko.

Nazajutrz, dnia dziewiątego września, największe ciśnienie powietrza przypadło na brzegi Szkocji. W tej też chwili zerwał się wicher z szaloną, niebywałą siłą. Był to prawdziwy huragan, jakich dawno nie pamiętano. Niepodobna było utrzymać się bezpiecznie na powierzchni wyspy.

Około godziny siódmej wieczorem, w chwili, gdy na naszych turystów oczekiwał obiad przygotowany w grocie Clam Shell, Olivier Sinclair i bracia Melvill doznali wielkiego niepokoju.

Miss Campbell, wyszedłszy z groty przed trzema godzinami, nie określając celu ani miejsca swej wycieczki, dotąd jeszcze nie powróciła.

Aż do godziny szóstej czekano cierpliwie i nikt zgoła nie zdradzał najmniejszej obawy. Ale jednak po upływie i tej godziny miss Campbell nie pojawiła się wcale.

Kilkakrotnie Olivier Sinclair wychodził na płaskowyż wyspy... nie dostrzegł jednak żadnej żyjącej istoty.

Nawałnica nareszcie zaryczała z całą wściekłością i olbrzymią siłą, morze jakby rzucając potęgą piętrzyło swoje fale niby wielkie góry, zalewając po części okolice dotykającą wschodniego boku groty.

— Nieszczęśliwa miss Campbell! — zawołał nagle Olivier Sinclair. — Jeżeli jeszcze jest w grocie Fingala, należy ją stamtąd wyprowadzić, bo bez wątpienia będzie zgubiona.

XX. DLA MISS CAMPBELL

W chwil kilka potem Olivier Sinclair, przebiegłszy główną ścieżkę z możliwą szybkością, przybył do wejścia groty, do miejsca, gdzie właśnie rozpoczynały się schody bazaltowe urobione przez naturę.

Bracia Melvill i Partridge towarzyszyli mu zdęci nadzwyczajną trwogą. Pani Bess pozostała w grocie Clam Shell, oczekując z nie mniejszym niepokojem, przygotowana na powitanie powracającej szczęśliwie Heleny.

Morze już wystąpiło z brzegów, zalewając całą platformę i uniemożliwiając przejście ku górnym wyżynom groty.

Nie tylko więc niepodobna było dostać się do jej wnętrza, ale i wydostać z niego na zewnątrz. Jeżeli zatem miss Campbell tam się znajdowała, została po prostu uwięziona. Ale jakim sposobem się o tym dowiedzieć i jak następnie dostać się do niej?

— Heleno! Heleno!

Wołali bracia, ale czy ich głos dochodził uszu miss Campbell? Fale uderzały z takim hukiem, że zdawało się, iż to padają pioruny. Ani głos zatem, ani spojrzenie nie mogło się wcisnąć do wnętrza groty.

— Możliwe, że miss Campbell wcale tam nie ma — rzekł brat Sam, który się ludził płonną nadzieją.

— Gdzieżby była? — odparł brat Sib.

— O tak, gdzieżby właściwie była? — dodał Olivier Sinclair. — Przecież nadaremnie poszukiwałem jej na płaskowyżu, nadaremnie zwiedziłem brzegi morza. Nie mogła wszak uprzedzić nas ani powrócić w czasie naszej nieobecności. Ona tam jest! Ona tam jest!

I namiętny, odważny Olivier przypominał sobie, ile to razy sam widział, jak morze gwałtownie zalewało grotę, jak w takim przypadku niepodobieństwem było dostać się tam zwykłą drogą, nawet za pomocą łodzi.

Trzeba koniecznie bądź co bądź dostać się do niej.

Pod wpływem szalejącego wichru wchodzące do groty bałwany wznosiły się aż do szczytu samego sklepienia. Tutaj dopiero rozbiły się z przeraźliwym hukiem. Wnętrze grotki przypominało wodospad Niagary; fale odbite od sklepienia rozlewały się na całej jej długości jak rwący strumień, niosąc zagładę wszystkiemu, co spotkały na swej drodze. Tym sposobem morze dowolnie szalało na całej długości tak obszernej grotki.

W jakiej zatem jej części miss Campbell znalazła schronienie, aby nie została pochwycona przez nieustannie napływające fale? Brzegi, boki i szczyty grotki były nieustannie wystawione na zalanie bałwanami morskimi.

Jednakże wszyscy w ogóle zaprzeczali temu, aby odważna dziewczyna mogła do tej chwili pozostać w grocie. Jakim sposobem mogłaby oprzeć się szalonej sile wichrów? Może już dawno morze wyrzuciło jej ciało, najokropniej poszarpane uderzeniami fal o boki skały? Czyż te fale nie płynęły całą przestrzenią aż do otworów spokojnej dotąd grotki Clam Shell?

— Heleno! Heleno!

Rozległo się na nowo, ale głos wołających ginął w huku i szumie. Żaden krzyk nie odpowiedział na wezwanie.

— Nie! Nie! — mówili bracia Melvill. — Nie ma jej w tej grocie.

— Ona tam jest — rzekł Olivier Sinclair.

I ręką wskazał kawałek tkaniny unoszącej się na powierzchni zebranej wody oraz inny kawałek takiej samej tkaniny na złomie skały.

Olivier Sinclair rzucił się z chciwością na te resztki.

Była to wstążka *sund*, którą miss Campbell miała przepasaną głowę.

Jeżeli jednak wicher zerwał jej opaskę z głowy, czy również i miss Campbell nie uległa jakiemuś nieszczęściu?

— Wiem, co uczynię! — zawołał Sinclair.

Korzystając z chwilowego uspokojenia się fal, Olivier skoczył ku pierwszym schodom prowadzącym ku grocie, lecz natychmiast nowy gwałtowny napór rzucił go o ziemię i o mało nie wciągnął do wnętrza.

Mimo to nie odebrało mu to chęci ratowania nieszczęśliwej Heleny.

— Miss Campbell jest tam! — zawołał. — Jest jeszcze żywa, ponieważ jej ciało nie zostało wyrzucone na zewnątrz jak ten strzępek wstążki. Prawdopodobnie znalazła schronienie w jakimś załomie skalnym. Lecz jej siły wkrótce się wyczerpią. Nie zdoła utrzymać się do chwili, gdy ustanie burza. Trzeba koniecznie dostać się do niej!

— Pójdę tam! — rzekł Partridge.

— Nie, ja tam pójdę — odezwał się z gwałtownością Olivier Sinclair.

— Zaczekajcie tu na nas — rzekł do braci Melvill — za pięć minut powrócimy.

Po czym skinął na Partridge'a.

Obaj wujowie pozostali na ostatecznej granicy wyspy, dokąd żadną miarą nie mogli dostać się płynące gwałtownie fale, gdy tymczasem Olivier Sinclair wraz z Partridge'em wrócili się z największą szybkością do Clam Shell.

Była godzina ósma wieczorem.

W pięć minut później młodzieniec i stary sługa powrócili, ciągnąc za sobą wzdłuż drogi małe czółenko, pozostawione przez okręt Clorinda.

Olivier Sinclair postanowił dostać się po miss Campbell morzem, skoro inna droga była niedostępna.

Tak jest, postanowił popробować tego środka. Nie mogło być inaczej. Wiedział dobrze, jak się ma obchodzić z czółnem.

— Pójdę z panem — odezwał się Partridge.

— Nie, mój kochany — odpowiedział Olivier. — Nie wolno narażać się dwóm ludziom na raz. Jeżeli miss Campbell jest przy życiu, ja sam dam radę.

— Olivierze! — wołali obaj bracia, nie mogąc powstrzymać się od łez.

Młodzieniec uścisnął ich ręce, potem, wskoczywszy do czółna, usiadł na ławeczce, pochwycił wiosła i zaczął płynąć z całą siłą ku wejściu do groty Fingala.

Czółenko zboczyło, ale Olivier siłą uderzenia wiosła utrzymał je w równowadze, wpływający zaś w sam środek prądu, zaczął lawirować.

W pierwszej chwili fale podniosły czółno do wysokości sklepienia, zdawało się wszystkim, że ta drobna łupinka zostanie skruszona o boki skały, lecz fale, cofając się, przeniosły go znowu w dawne miejsce.

Trzy razy w podobny sposób było rzucane czółno, oscylowało na wysokości równej poziomowi powierzchni wyspy i na koniec Olivier Sinclair został pochwyciony i siłą wparty w otchłań, jakby go pochwyciły prądy Niagary.

Krzyk przerażenia wyrwał się z piersi obecnych. Sądono, że jest bezwarunkowo zgubiony.

Ale niezwykła odwaga i przytomność umysłu młodzieńca pomogły mu utrzymać się w czółnie; płynął z szybkością strzały przez sam środek groty.

Po niejakej chwili znowu nastąpił napływ wód, zasłaniając zupełnie czółno przed wzrokiem obecnych.

Olivier nie stracił przytomności, położywszy się w czółnie, dał się rzucać w rozmaite strony, chroniąc się od uderzenia o ściany skały.

Po długich wysiłkach, po nadludzkich prawie trudach, czółno znowu doszło do równowagi i bracia Melvill ujrzeli dzielnego młodzieńca płynącego po wierzchu fal.

XXI. BURZA SZALEJĄCA W GROTCIE

Olivier Sinclair był zupełnie zdrow i cały, a chwilami nawet zupełnie bezpieczny. Ciemność nie pozwalała mu rozejrzeć się wokoło. Dzień tylko niekiedy słał tu swoje blaski, w przerwach uspokajających się fal.

Olivier Sinclair nadaremnie usiłował rozpoznać miejsce, w którym prawdopodobnie ukrywała się miss Campbell, ale nie mógł.

Zawołał:

— Miss Campbell! Miss Campbell!

Jakże opisać jego radość, gdy usłyszał cichy głos:

— Panie Olivierze! Panie Olivierze!

Miss Campbell zatem żyła.

Ale jakim sposobem i gdzie mianowicie zdołała się ukryć?

Olivier jeszcze raz wytężył wzrok.

W samym zagięciu skały znajdował się rodzaj naturalnej framugi. Tutaj też łączyły się ze sobą pilastry. Tym sposobem tworzyło się ukrycie doskonale zabezpieczone od wejścia doń fal morskich. Legenda nazywała je „krzesłem Fingala”.

Tam właśnie ulokowała się na razie miss Campbell.

Zagłębiona w marzeniach młoda dziewczyna ujrzała wybuchającą nawałnicę, czuła, że jest narażona na wielkie niebezpieczeństwo, ale nie tracąc odwagi, starała się wszelkimi środkami dostać do krzesła Fingala.

Tu też odnalazł ją Olivier.

— Ach miss Campbell, jak można było tak niebaczenie narazić się na niebezpieczeństwo! Myśleliśmy, że już pani nie żyjesz.

— Ale pan mnie uratowałeś, panie Olivierze — rzekła miss Campbell, bardziej roztkliwiona narażaniem się Oliviera niż prawdziwym niebezpieczeństwem, jakie jej jeszcze groziło.

— Przybyłem tutaj, aby panią uwolnić, oswobodzić, i jakoś dostałem się aż do pani z pomocą Bożą. Nie doznajesz pani trwogi?

— Bynajmniej. Ponieważ pan tu jesteś, niczego się zgoła nie obawiam. A zresztą, czy mogłam dać przystęp do mego serca innemu uczuciu niż uwielbienie? Patrz!

Miss Campbell cofnęła się w głąb swego schronienia. Olivier Sinclair, stojąc przy niej, usiłował zabezpieczyć to miejsce od wdzierania się fal.

Oboje umilkli. Nie potrzebowali przecież mówić, wszak się doskonale w tej chwili rozumieli.

Mimo całej odwagi i jednej, i drugiego, niebezpieczeństwo nie minęło wcale, lecz przeciwnie, zaczęło dopiero się przybliżać. Już kilkakrotnie fale uniosły się tak daleko, że oblały podnóże tej części skały, w której znajdowało się krzesło Fingala, i nie ulegało wątpliwości, że nadejdzie chwila, w której huragan, w której nawałnica splucze tych dwoje ludzi jak martwy kawał drzewa. Tym bardziej, że na nowo zahuczało, zajaśniały błyskawice i padł piorun.

Wówczas Olivier zwrócił się do miss Campbell. Patrzył na nią ze wzruszeniem, którego nie wywołało wcale bliskie niebezpieczeństwo.

Ale miss Campbell uśmiechała się, zachwycała się majestatycznością widowiska, burzą szalejącą w zamkniętej grocie!

W tej chwili olbrzymi bałwan wzniósł się tak wysoko, że prawie dotknął wejścia do framugi krzesła Fingala. Olivier był przekonany, że on i miss Campbell zostaną pochwyceni falą i uniesieni.

Pochwycił ją tedy w ramiona, jakby pragnął bronić jej od tej napaści własnym życiem i osobą.

— Olivierze! Olivierze! — szepnęła młoda dziewczyna, nie mogąc zapanować nad swoim wzruszeniem.

— Nie obawiaj się niczego, Heleno — odpowiedział Olivier. — Bronić cię będę, Heleno... ja...

Nie dokończył. Nie śmiał wyznać tych słów wobec okropnej katastrofy, która nieustannie zagrażała ich życiu.

Przed wszystkim należało mieć przytomność umysłu, na tę odwagę zdobył się dzielny młodzieniec.

Ale jednak już to skutkiem wyczerpania się sił fizycznych, a być może sił moralnych ducha, młodzieniec czuł, że jest bliski omdlenia.

Wyczerpany zbyt długą walką z szalejącym żywiołem, mimo nadludzkich wysiłków nie mógł utrzymać się na nogach. Przerażało go to, że pozostawi ją samą, na łup fal i bałwanów.

— Heleno... moja droga Heleno... — szepnął — Po moim powrocie do Oban... dowiedziałem się... to ty... to dzięki tobie zostałem uratowany z odmetów Corryvreckan.

— Jak to, wiedziałeś o tym Olivierze?... — odpowiedziała miss Campbell prawie zamierającym głosem.

— Tak jest... i dziś splcę ten dług... Uratuję cię z grotty Fingala.

Jakim sposobem Olivier przy wyczerpaniu sił i przy nowym napływie szalejących fal mógł mówić o ratunku? Niepodobna, aby mógł obronić swoją towarzyszkę. Dwa lub trzy razy fale prawie ich pociągały ze sobą... A jeżeli rzeczywiście oparł się temu, to nie było to skutkiem fizycznej siły, ale z tej tylko przyczyny, że czuł rękę otaczającą go jakby żelaznym pierścieniem, że tym sposobem nie zginie sam, ale razem z nią.

Mogło być już wpół do dziewiątej wieczorem. Nawałnica dosięgła swego zenitu. Wody morskie pędziły do grotty Fingala z gwałtownością trudną do określenia. Wstrząsały posadami skały i ścianami grotty; odpadały wielkie kawały granitu, wytwarzając swym upadkiem czarniawe otwory w spienionych falach.

Czy z kolei pod tak straszliwym uporem wód pilastry podpierające sklepienie nie ulegną, nie zostaną zrujnowane, nie opadną? Czy wreszcie nie runie całe sklepienie grotty?

Olivier Sinclair obawiał się wszystkiego. I on także doświadczał jakiejś szczególnej trwogi, której sobie nie mógł wytłumaczyć. Brakło mu zupełnie powietrza, zdawało się, że atmosferę tę unosiły ze sobą fale, bo kiedy ustępowały, znowu powracała mu swoboda oddechu.

W tych warunkach miss Campbell odczuła strudzenie i była bliska omdlenia.

— Olivierze! Olivierze! — szepnęła, tuląc się do niego.

Olivier Sinclair wcisnął się wraz z nią w najtajniejszy zakątek framugi. Chciał ją ogrzać, chciał własnym oddechem, własnym życiem ją ożywić.

Lecz woda dotarła już prawie do połowy ich ciał. Jeżeli i on w tej chwili utraci przytomność, oboje będą zgubieni.

Ale młodzieniec posiadał jeszcze siłę opierania się przez kilka godzin. Podtrzymywał miss Campbell i własną osobą osłaniał ją od uderzeń rozwścieczonych fal oceanu. Wśród nieprzeniknionej ciemności słychać było ryk, huk, świst szalejących wód. Nie był to już głos Selmy wydającej harmonijne tony w pałacu Fingala. Było to szczekanie psów Kamczatki, o których mówi Michelet, że idą wielkimi gromadami, szczekając przeraźliwie, i wściekłość ich można porównać do wściekłości północnego Oceanu.

Nareszcie morze zaczęło z wolna opadać.

Olivier zauważył, że fale coraz bardziej zyskują na szerokości, rozlewając się w całej przestrzeni. W ciemności jednak dotąd panującej grota Fingala zarysowała się również ciemną barwą.

Najwyższe miejsce groty było już wolne od wody.

Nadeszła chwila wydobycia się z tej straszliwej groty.

Pomimo to jednak miss Campbell nie odzyskała dotąd wcale przytomności umysłu. Olivier Sinclair wziął ją w objęcia i silnie trzymając, z wolna posuwał się po mokrych stopniach skały.

Wielokrotnie jednak musiał się cofać, gdy napływały wody, to znowu szybko pomykać naprzód, aby ubiec zbliżające się bałwany morskiej wody.

Na koniec, kiedy już znalazł się prawie na dole, nowa masa wody wparła do wejścia groty, zdawało mu się, że oboje zostaną starci o ściany skały, że ich uniesie prąd, wszakże i tym razem zdołał się jeszcze oprzeć i kiedy morze cokolwiek ustąpiło, wyczerpując wszystkie siły, wydobył się nareszcie z groty.

Prawie w okamgnieniu dotarł do miejsca, gdzie w śmiertelnej trwodze stali wujowie Melvill, Partridge i pani Bess, która uprzedzona o nieszczęściu przybiegła tutaj gotowa oczekiwać na panienkę przez całą noc.

Byli zatem oboje uratowani.

Tu sztuczny wysiłek zdradził Oliviera i złożywszy miss Campbell w ręce przyjaciół i wujów, sam potoczył się i padł na ziemię.

Gdyby nie jego odwaga i narażenie własnego życia, miss Campbell niechybnie byłaby zgubiona.

XXII. ZIELONY PROMIENI

W kilka minut później pod błogim wrażeniem świeżego powietrza, w głębi groty Clam Shell, miss Campbell odzyskała nareszcie przytomność. O niebezpieczeństwie, jakie jej zagrażało, nie miała najmniejszego pojęcia, a może już nawet o nim zapomniała.

Nie mogła jednak jeszcze mówić, ale na widok swego zbawcy lzy spłynęły jej po twarzy, wyciągnęła doń rękę i uściśnięła z serdecznością.

Brat Sam i brat Sib, nie mówiąc ani słowa, po kolei uściśnęli młodzieńca. Pani Bess ukloniła się mu z wyrazem pełnym szacunku, a poczciwy Partridge miał wielką ochotę ucałowania go jak syna.

Następnie wszyscy, nadzwyczaj znużeni, udali się na spoczynek, gdzie kto mógł, i noc przeminęła spokojnie.

Wrażenia jednak, jakich doznali w tym dniu, nigdy nie zanikną w ich umysłach i pozostaną na zawsze w pamięci.

Nazajutrz, kiedy miss Campbell spoczywała jeszcze na łożu przyrządzonym dla niej w kącie groty Clam Shell, bracia Melvill, wzięwszy się pod ręce, przechadzali się na drodze wiodącej do groty.

Nie mówili wcale, ale znając się tak dobrze, nie potrzebowali porozumiewać się słowami. Zawsze obaj podnosili głowy i poruszali nimi w prawą stronę, gdy na coś się wzajemnie zgadzali, a poruszali głowami na lewo, gdy się nie zgadzali. Czyż jednak mogli zataić przed sobą, że Olivier Sinclair z narażeniem własnego życia uratował miss Campbell? Teraz zatem pierwsze ich plany zostały odnowione. W tej milczącej rozmowie bracia Sam i Sib powiedzieli sobie bardzo wiele rzeczy, tak że prawie ułożyli wstępny plan. W ich oczach Olivier nie był Olivierem. Był on prawdziwym Aminem, bohaterem epopei gaelickiej.

Ze swej strony Olivier Sinclair pozostawał pod niezmiernie przykrym wrażeniem. Pragnął koniecznie zostać sam, aby uspokoić się po wrażeniach, aby uspokoić równie niezmiernie wzburzony umysł. Czuł się mocno zakłopotany wobec braci Melvill, bo zdawało mu się, że pomyśli ktoś, iż stojąc tam ciągle na widoku, pragnie koniecznie nagrody za swój szlachetny czyn.

Dlatego też zwrócił się w przeciwną stronę i zaczął przechadzać się po płaszczyźnie wyspy.

W tej chwili wszystkie jego myśli były skierowane ku miss Campbell. O niebezpieczeństwie, na jakie był narażony, nie pamiętał wcale. Tym, co sobie przypominał, były godziny spędzone przy Helenie w grocie Fingala, w tym schronieniu zupełnie ciemnym, kiedy połączeni byli oboje wzajemnym uściskiem, aby się bronić przed naporem fali.

Widział przy blasku błyskawic uroczą postać młodej dziewczycy, bladą, ale pełną odwagi, stojącą silnie wobec nawałnicy jak dobry geniusz! Słyszał, jak mówiła: „Jak to, ty wiedziałeś o tym?...” Kiedy jej opowiedział o czynie, jak wówczas na statku Glengarry prosiła za nim, aby posłano im na pomoc okręt. Wyobrażał sobie owo schronienie, w którym dwoje ludzi kochających się wzajemnie pozostawało złączonych w uścisku nie tylko ciałem, ale i myślą, nie tylko fizycznie, ale i moralnie, duchowo. Tam nie było wcale ani miss Campbell, ani pana Sinclaira, tam była Helena i Olivier, gdy im śmierć groziła, oddychali oboje nowym życiem!

Takie myśli zaprzętały głowę młodzieńca, gdy się przechadzał po płaskowyżu Staffy. Jakkolwiek pragnął powrócić do miss Campbell, niewidzialna siła zatrzymywała go na miejscu, ponieważ wówczas ona by zapewne mówiła, a on sobie życzył, aby milczała.

Po straszliwej nawałnicy powietrze oczyściło się znakomicie i horyzont okazał się w całym swoim blasku. Nie było ani jednej chmury, lazur horyzontu zdawał się przezroczysty. Słońce doszło do swego zenitu, jakkolwiek w pewnym oddaleniu, z daleka przesuwały się pary wodne w postaci lekkich obłoczków.

Olivier Sinclair z głową rozgrzankowaną wpatrywał się z rozkoszą w lazur nieba, oddychał z całą przyjemnością czystym powietrzem morza.

Nagle dziwna myśl, jakby dawno zapomniana, ożywiła go, gdy patrzył na tę tak jasną przestrzeń horyzontu i powierzchnię spokojnego morza.

— Zielony promień! — zawołał. — Jeżeli kiedykolwiek, to obecnie niebo przedstawia wszelką pewność, że zielony promień ukaże się naszym oczom. Miss Campbell nie spodziewa się wcale, że po wczorajszej burzy niebo dziś obdarzy ją upragnionym zjawiskiem. Trzeba... trzeba koniecznie... natychmiast ją o tym uprzedzić.

Olivier Sinclair szczęśliwy, że znalazł nareszcie usprawiedliwiony powód ujrzenia Heleny, udał się wprost do groty Clam Shell.

W kilka chwil później znalazł się wobec miss Campbell i braci Melvill, którzy przypatrywali się mu z czułością, a pani Bess wyciągnęła do niego rękę.

— Miss Campbell czuje się dużo lepiej... — mówiła pani Bess. — Widzę to... Siły na nowo, zdaje się, powróciły.

— Tak jest, panie Olivierze — odpowiedziała miss Campbell, która zdawała się nadzwyczajnie wzruszona na widok młodego malarza.

— Sądzę, że uczynisz pani bardzo dobrze, gdy zechcesz wyjść i odetchnąć cokolwiek zdrowym powietrzem nadmorskim.

— Pan Sinclair ma słuszość — rzekł brat Sam.

— Najzupełniejszą — dodał brat Sib.

— A nadto muszę panią powiadomić o wszystkim, jeżeli, ma się rozumieć, nie zawiodą mnie oczekiwania. Oto najdalej za kilka godzin niewątpliwie spełni się najgorętsze pani życzenie.

— Najgorętsze życzenie? — szepnęła, jakby pytając się sama siebie.

— Tak jest. Niebo jest czyste jak lza i zdaje się, że słońce zajdzie bez najmniejszej chmury.

— Czy podobna? — zawołał brat Sam.

— Czy to możliwe? — dodał brat Sib.

— Mogę nawet z pewnością twierdzić, że dzisiejszego wieczora ujrzymy niewątpliwie zielony promień!

— Zielony promień! — powtórzyła miss Campbell.

Zdawało się, że szuka w swej pamięci, co ma znaczyć ten jakiś zielony promień.

— A, tak, słusznie — odpowiedziała. — Przybyliśmy tutaj tylko po to, aby ujrzeć zielony promień.

— Chodźmy! Chodźmy! — zawołał wesoło brat Sib uradowany tym, że mógł swoją siostrzenicę uwolnić od jakiegoś dziwnego usposobienia i sprawić jej rozrywkę. — Chodźmy na drugą stronę wyspy.

— Zjemy obiad nieco później — dodał równie uszczęśliwiony brat Sam.

Była godzina piąta po południu.

Pod przewodnictwem Oliviera Sinclaira cała rodzina, nie wyłączając nawet pani Bess i wiernego Partridge'a, udała się ku przeciwnej stronie wyspy w celu zajęcia odpowiedniego stanowiska. Być może, że w tym było trochę uprzedzenia, ale zdawało się wszystkim, że słońce nigdy nie jaśniało tak wspaniale. Zdawało się, że po tylu smutnych przejściach, po tylu zawodach, po podróży odbytej z Helensburgh aż na Staffę nareszcie upragnione zjawisko ukaże się ich oczom.

Co się tyczy braci Melvill, byli niezmiernie ucieszeni tą szczególną jasnością niebieskiego stropu. Zdawało się im, że słońce zajdzie z pewnością bez najmniejszej chmury. Prosilili prawie ową gwiazdę, aby wreszcie raz dostarczyła im upragnionej przyjemności.

Porozumiewszy się ze sobą spojrzeniami, poczuli deklamować ustępy ulubionego poety:

— „O gwiazdo, co przepływasz ponad naszymi głowami, okrągła jak naramienniki naszych ojców, skąd pochodzi twoje nigdy niewyczerpane światło?”

— „Płyniesz po niebie pochodem majestatycznym. Gwiazdy inne nikną wobec ciebie na horyzoncie. Księżyc zimny i błądy ukrywa się przed tobą na zachodzie. Poruszasz się samo, o słońce!”

— „Któż może być towarzyszem twego biegu? Księżyc ginie na niebie, ty zawsze jesteś jednym i tym samym. Nieustannie rzucasz snopy światła na ziemię”.

— „Gdy huczy piorun i płynie błyskawica, wypływasz w całej swej piękności i śmiejesz się z nawałnicy”.

Wszyscy pod tym wpływem szczególnego zadowolenia udali się aż na ostatnie krańce wyspy, aby obserwować pełne morza. Usiedli na złomie skalnym, wobec horyzontu, który niezacmiony, był jasny jak przezrocze!

W tej chwili nie było Arystobula, który by żaglem swej łodzi lub dymem z wystrzału zasłonił tarczę słoneczną widoczną z krańców Staffy.

Wreszcie zawiął ostatni wiaterek i uspokojone fale morza spoczęły. Cała przestrzeń wydawała się jak olbrzymia płyta zastygłego kryształu.

Wszystko składało się na uświetnienie spodziewanego fenomenu.

Nagle Partridge po upływie może godziny zawołał, wyciągając rękę:

— Żagiel!

Żagiel? Czyżby znowu miał przepłynąć przed słoneczną tarczą? Był to już więcej niż pech!

Żagiel ten wypłynął z wąskiej cieśniny pomiędzy Ioną a wyspą Mull, unoszony raczej prądem niż przez wiatr. Lawirował bardzo ostrożnie i wreszcie wynurzył się jako statek.

— To Clorinda — rzekł Olivier Sinclair — a ponieważ kieruje się ku drugiej stronie wyspy, przepłynie swobodnie bez zasłonięcia tarczy.

Rzeczywiście była to Clorinda, która okrążywszy południowy przylądek wyspy Mull, zarzuciła kotwicę naprzeciw groty Clam Shell.

Wszystkie spojrzenia tam się skierowały.

Słońce już zachodziło z nadzwyczajną szybkością, na falach oceanu drżały pokłady jakby ruchomego srebra rzucone z tarczy słonecznej. Wkrótce zmieniły się w złotawy przebłysk, a w końcu blask ten pociemniał kolorem wiśniowym. Oko ludzkie nie widziało nic więcej prócz jakiejś krwawej łuny i żółtych kół, które przepływały nieustannie jak barwy w kalejdoskopie. Z lekka rozwinęła się jakaś taśma podobna do wlokącego się ogona komety i odbiła w przezroczu wód; podobna była do płatków spadającego z góry srebra, a potem płaty te poczęły blednąć.

Nic nie ćmiło jasności zachodzącego słońca. Nie można było wątpić ani na chwilę o pojawieniu się fenomenu.

Wkrótce słońce ginęło z oczu pod horyzontem. Kilka promieni, rzuconych jak płynne smugi złota, rozjaśniło krańce Staffy.

Wyspa Mull i inne będące nieco w tyle zapłonęły jakby ogniem.

Na koniec tylko brzeżek tarczy słońca wystawał ponad powierzchnię morza.

— Zielony promień! Zielony promień! — zawołali bracia Melvill, Bess i Partridge, których wzrok w ciągu ćwierci sekundy odbijał barwę cudownej zieloności.

Tylko Olivier i Helena zupełnie nic nie widzieli, wpatrując się w siebie.

W chwili pojawienia się zielonego promienia myśli ich płynęły gdzie indziej.

Helena wprawdzie widziała promień, ale promień oczu Oliviera, tak jak on wpatrywał się w błękit spojrzenia ukochanej Heleny.

Tymczasem słońce zupełnie zaszło i żadne z nich nie ujrzało zielonego promienia.

XXII. ZAKOŃCZENIE

Nazajutrz, dnia 12 września, Clorinda pojawiła się wspinała na falach morza, płynąc szybko ku wschodowi, wkrótce też znikły zarysy Staffy.

Po krótkiej podróży okręt szczęśliwie dotarł do małego portu w Oban, następnie nasi turyści, wsiadłszy na pociąg idący do Dalmally, dostali się do Glasgow, przemierzając w poprzek malownicze Highlands, i zawinęli do własnego portu, do domu w Helensburgh.

W osiemnaście dni później odbyła się ślubna ceremonia w kościele świętego Jerzego w Glasgow, ale trzeba dodać, że nie przystępował do ołtarza Arystobul Ursiclos, lecz narzeczoną był Olivier Sinclair, a oblubienicą miss Campbell. Bracia Melvill byli uradowani bardziej jeszcze może niż ich siostrzenica.

Że związek ten po tylu przejściach zakończył się szczęśliwie, o tym nie ma co nawet mówić. Dom w Helensburgh, hotel w West George Street w Glasgow i wszyscy goście nie zdolni byli zastąpić tej chwili szczęścia, jakiej doznali małżonkowie w grocie Fingala.

Lecz w tym ostatnim dniu para zaślubionych nie pragnęła zgoła widzieć zielonego promienia. Szczęście jakiego kosztowali, skłoniło ją do ukrycia się w głębi własnego, rodzinnego kącika. Olivier Sinclair, jako artysta, zasiadł do obrazu i wykończył go, przedstawiając chwilę pojawienia się zielonego promienia.

Na wielkie zdziwienie wszystkich bracia Melvill wyrzekli:

— Dużo lepiej przypatrywać się zielonemu promieniowi namalowanemu na płótnie...

— Niż w naturze — dodał brat Sib — bo nie działa szkodliwie na wzrok.

Obaj mieli słuszność.

Dwa miesiące później małżonkowie i dwaj bracia Melvill przechadzali się nad brzegami Clyde, gdy nagle spotkali Arystobula Ursiclosa.

Nie sposób pomyśleć, aby opuszczenie przez miss Campbell podziało na uczonego. W istocie, był jak wcześniej chłodny i obojętny. Wymienili ze sobą ukłony.

Bracia Melvill, widząc taką harmonię, oświadczyli, że nie posiadają się z radości z powodu doprowadzonego do skutku związku.

— Jestem taki szczęśliwy — rzekł brat Sam — że kiedy jestem sam, muszę się uśmiechać do siebie.

— A ja płakać — dodał brat Sib.

— Otóż — odpowiedział na to Arystobul — widzę, że pierwszy raz jesteście ze sobą w niezgodzie. Jeden z was uśmiecha się, drugi płacze.

— To prawie jedno i to samo — odparł Olivier.

— Niezawodnie — potwierdziła młoda mężatka.

— Jak to: to samo? — zawołał Arystobul — Ależ bynajmniej. Cóż to jest uśmiech? Posłuszny woli szczególnie ruch mięśni twarzy, w którym zjawiska oddychania nie biorą najmniejszego udziału, podczas gdy płacz... lzy...

— Łzy? — zapytał Sinclair.

— Tak, lzy to tylko płyn nawilżający gałki oczne, są zwykłą mieszaniną chlorku sodu, fosforanu wapnia i węglanu sodu.

— Co do składu chemicznego, masz pan najzupełniejszą słuszność, ale tylko co do tego.

— Nie pojmuję wcale takiej odpowiedzi — odrzekł Arystobul Ursiclos i ukłoniwszy się ze sztywnością geometry, oddalił się od towarzystwa.

— Otóż — rzekła mistress Sinclair — pan Ursiclos tłumaczy wszystko tak, jak wytłumaczył o zielonym promieniu.

— Ależ w końcu, moja droga Heleno — wtrącił Olivier — nie widzieliśmy tego zielonego promienia, który tak pragnęliśmy ujrzeć.

— Widzieliśmy coś lepszego — dodała cicho młoda kobieta. — Widzieliśmy samo szczęście, to właśnie, o jakim mówi tradycja zielonego promienia. Ponieważ zaś go znaleźliśmy, mój drogi Olivierze, to nam wystarcza, a przyjemność ujżenia zielonego promienia pozostawmy tym, którzy są mniej od nas szczęśliwi.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/verne-promien-zielony>

Tekst opracowany na podstawie: Juliusz Verne, Promień zielony i dziesięć godzin polowania przez Juljusza Verne, tłum. S. Miłkowski, Nakł. i druk J. Czańskiego, Gródek 1887.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Tulicka, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Publikację wsparli i wsparły: kjonca, Grzegorz Bisztyga.

ISBN 978-83-288-5183-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).